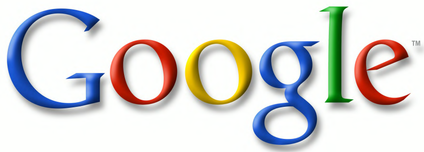


K. Tetmajer

POEZYE



POEZYE

V

Tegoż autora wyszły:

POEZYE. Serya I. Wyd. trzecie. Rb. 1.—, opr. Rb. 1.40.

POEZYE. Serya II. Wydanie trzecie. Rb. 1.—, opr. Rb. 1.40.

POEZYE. Serya III. Wydanie drugie. Rb. 1.—, opr. Rb. 1.40.

POEZYE. Serya IV. Wydanie drugie. Rb. 1.—, opr. Rb. 1.40.

WYBÓR POEZYJ. (Wyczerpany).

HASŁA.

ANIOŁ ŚMIERCI. 2 t. w jednym. Wyd. trzecie. Rb. 1.80.

MELANCHOLIA. Wydanie drugie. Rb. 1.—, opr. Rb. 1.40.

OTCHŁAŃ. Wyd. drugie. Rb. 1.—, opr. 1.40.

NA SKALNEM PODHALU. I. Wydanie drugie. Rb. 1.10, opr. Rb. 1.50.

NA SKALNEM PODHALU. II. Rb. 1.30, opr. Rb. 1.70.

PANNA MERY. Rb. 1.80.

WRAŻENIA. Rb. 1.—, opr. Rb. 1.40.

W druku:

POEZYE. Serya III. Wydanie trzecie.

ZATRACENIE.

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER





POEZYE

V



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1905



PODCZAS WIATRU Z TATR

Dumny, nieuskromiony, witaj mi, żywiole!
zawsze ciebie kochałem ze wszystkich najwięcej!
na twem łonie się duch mój kołysał dziecięcy,
tyś mi pierwszą muzyką był słyszaną w świecie,
kiedyś od Tatr przylatał przez lasy i pole — —
dumny, nieuskromiony, witaj mi żywiole!

Kochałem ciebie zawsze! bo na twoim grzbiecie,
jako na oceanu powłoce rozdętej,
nie śmią siadać i płynąć żeglowne okręty;
bo niszczysz i niweczysz wszelką ludzką siłę,
dumny, nieuskromiony, pyszny elemencie!
bo przelatasz, jak demon, wielką ziemską bryłę
i nigdzie nie jest kres twój — i nigdzie poczęcie.
Wieczny i bezgraniczny, niczem nie zamknięty,
lecisz przez cichych niebios gwiezdne firmamenty,
i niczemu nie bratni, z niczem nie związany,
wszystkiemu wszędzie obcy, sam jeden dla siebie:
pustynie, miasta, sioła, góry, oceany,
wszystko masz u stóp swoich, wędrując po niebie!

Dumny, nieuskromiony, witaj mi, żywiole!
ty jesteś dusz najsłodszą, najlepszą muzyką!
Jako na wolę marzeń, na twą zdana wolę
dusza leci: im więcej obcą się uczuje,
im będzie samotniejszą, im dalej lot chyży
poniesie ją w pustynię szeroką i dziką:
tem więcej jest królewską i tem leci wyżej!

Niechaj się tam na dole tłum ludu kotłuje,
niechaj wstają geniusze i w ducha mozole
podnoszą głuchy odmęt ludzkiej masy w górę,
aż runie w dół ich pracę zawalić, jak lawa;
niechaj się ludzkość cała jednem piekłem stawa,
lub dusze jak anioły świecą białopióre;
niech wojna grody niszczy, mór sioło po siole
obraca w pustkę cichą, lub niech kwitną sady
i złotym plonem lata świat się cały cieszy;
niech życie będzie świętem dla ludzkiej gromady;
niechaj się sam Duch zjawi pośród ludzkiej rzeszy,

i rozwiesi nad światem swych rąk aureolę:
ty, z niczem niezwiązany i obcy wszystkiemu,
krążysz, li tylko Prawu podległy swojemu,
dumny, nieuskromiony, wspaniały żywiole!

Duszy, która poznała, że odejść powinna
od powszechnego świata, ponieważ jest inna,
tyś jest największym skarbem, o wietrze skrzydlaty.
W samotności jej dumy i zamknięcia w sobie,
ty myśli jej kołyszesz, ty stwarzasz jej światy,
gdzie żyje, jakby żyła gdzieś na innym globie,
zrozumiana, odczuta, pokrewna i blizka...

Leci wiatr: przez ogromne skały i urwiska,
przez rozpadliny leci, gdzie oko nie sięgnie,
przez otchłanie, gdzie patrzeć krew w żyłach zatęgnie,
przez lodowce niezwładne i przez śniegi białe,
gdzie śmierć siedzi oparta plecami o skałę
i prowadzi dokoła sępiemi oczyma,
czy nic niéma dokoła?.. Lecz nigdzie nic niéma...

Leci wiatr — i przedziwny, cudowny czarodziej,
przed duszę świat marzenia z otchłani wywodzi,
świat utopijnych czynów, spełnianych idei...
szumi — i wzrok na sprawy rzeczywiste klei,
a otwiera snów państwo, skąd, jak kropla ścieka
w kielich kwiatu i woń zeń wydobywa mocną:
tęsknota ku Lepszemu ogarnia człowieka
i duszę mu zapładnia i czyni owocną.

Kocham cię, wietrze górski i zawsze kochałem!
tyś mi wzniósł wzrok na Światło, na Przestrzeń i Ciszę,
na tę cudowną trójcę! Ty niegdyś nad wody
dunajcowe lecący, mojej duszy młodej
nigdy już nieodstępne dałeś towarzysze:
nieujęte uczucia, wrażenia gwałtowne,
z których zachwyt i dziwny jakiś zryw wybucha,
jakieś poznanie takiej duchowej swobody,
że się z tego religia własna rodzi z ducha
wołana przez tęsknoty, przez sny niewymowne...

Witaj mi nieposkromny, królewski żywiole!
witaj nieujarzmiony, dumny elemencie!
witaj ty, który gwiazdę płonącą na czole
rozświecasz, jak ognisko na wysokiej górze!
Witaj mocy astralna, najczystsza w naturze,
witaj, płynący niebem, wieczysty okręcie!
Niebiańska władza, co się wiekuiście ziszcza,
buduje, gdzie obala, sieje, gdzie wyniszcza,
a cel twój tak nieznany jest, jako cel słowa,
które wyrzekło: »Stań się!...«

Nierazem cię w borze
igrającego widział z wysmukłem źdźbłem trawy,
na którem się bujała ćma szaro-różowa,
albo chrząszczyk w złocistym, świecącym pancerzu.

Nieraz ciebie widziałem, jakeś na jeziorze
gonił bańki powietrzne, lub mech czerwonawy
strzępił na stawów górskich kamiennem pobrzeżu.
W twoim szumie w tatrzańskich pustkowiach stra-
[szliwych,
zawieszony na skrzydeł malowanych tęczy,
nakształt kwiatów, zerwanych gdzieś w łąkach pie-
[ściwych:
motyl skalny przelata — jak orzeł — samotny...
jak dzwoneczek anielski na swych skrzydłach
[dźwięczy,
i kwiatem się odrywa gdzieś z igły zawrotnej
i nad otchłanie czarne, nad skały olbrzymie
unosi ta ptaszyna maleńka i dzika
ducha ludzkiego, jako niebios wędrownika...

Nieraz ciebie widziałem błądzącego w dymie
nocnych ognisk pasterskich, gdyś iskry unosił,
kołował z niemi w górze i polanę rosił,
albo świecące wieszał na ciemnym konarze.
Wtenczas tyś mi przynosił dziwne czucia w darze:
rozwijałeś mą duszę, że się spływać zdała
z mgłami, i mgieł melodye na górach słyszała,
i nie było jej tajnem ni jednego dzwonka
życie, gdzieś zawieszone na turni oślizłej,
i każdą kroplę znała, co z siklawy bryzły,
i zasłoniona cieniem mroczna halna łąka
zdawała jej się cichą kołyską, gdzie zlany
kołysze się duch ludzki i duch wszechprzyrody...

Dziwnie cudowną pieśnią grały wówczas wody...
i las ciemny, potężny, w gwiazdy malowany...

(Wszystko to dziś zda mi się, jak nadziemskie czary...)

Widziałem, jakeś nieraz w nocy przez moczary
wodził błędne ogniki, popychał je, gonił,
gasił i znów je w chwilę na nowo rozpłonił,
i tańczył z niemi, dziwny, nieswojski, tajemny,
jakiś duch, zkądsiś spadły na ziemię, nadziemny,
pełen melancholii, smutku i ironii.
Każdy poświst twój nowe światełka błót goni,
zdasz się bawić, jako ci, co bawią się dymem
w wysokich zamkach, kiedy powódź wsie zalewa;
jakobyś był posępnie szyderczym olbrzymem,
co zamiast ziarno siewać, ogień błót rozsiewa.

I nieraz ciebiem widział, gdyś nad zwały skalne
niósł chmury niebotyczne, wielkie, tryumfalne,
chmury, co się piętrzyły, gdzie wzrok nie dolata,
zaciemniające cały widnookrąg świata,
potężne, ściemiewające olbrzymie kontury
skał, a takim rozmachem bijące do góry,
że się zdawało, niebo zasłonią na wieki!...
I znowum ciebie widział, jakeś sam, daleki,
unosił się na skrzydłach, jak orzeł w przestrzeni,
nad przepaściami spadów, nad morzem kamieni,
dumny i zakochany w wierchach wiecznie sennych,
nieruchomych, ogromnych, niemym głosem brzmien-
[nych,
jaki w niekołysanych jest mosiężnych dzwonach.
Widziałem cię, gdyś błądził po skalnych koronach,
i miłosne ramiona wokoło granitu
owijał, rozbujały, szeroki, królewski,
wszystkiemu, oprócz słońca i gwiazd śród błękitu,
obcy i niedostępny, samotnik niebieski,
cichy pasterz kóz skalnych i orli towarzysz...

O wietrze! kiedy lecisz tam, o czem ty marzysz?!..

Czy ci się nie śnią dawne, przeminione wieki,
pełne dziwów wymarłych, cudów zatraconych,
gdy z szalejącej słońca młodzieńczego spieki
dobywały się twory straszne i poczwarne,
ptaki o skrzydłach, jako o chmurach czerwonych,
jaszczury wygrzewane przez bagniska parne,
podobne do pniów z miedzi, bursztynu i złota?
Czyli ci się śni może wód wielkich ciemnota,
co tu leżały, Tatry kryjąc w swojem łonie,
jak ludy kryją w sobie niewidzialne siły:
aż gdy je czas zatrzęsie i pogłąb wyzionie,
wstają i biorą słońce na swych ramion bryły...

I widziałem cię, wietrze, jakeś przez cmentarze,
leciał i szumiał grobom bez nazwisk, pamięci;
wiem, że się podźwigały do cię z grobów twarze,
których nikt już modlitwą, myślą nie uświęci,
świadome zapomnienia, w które Czas je wgłuszył.
Uśmiechają się do cię, żeś tę ziemię ruszył,
gdzie one leżą wieki. Ty jeden na ziemi
znałeś je. Już się lasy zwaliły na lasy,
rzeki poszły inaczej, góry w głąb się zsiadły,
ty jeden szumisz tony wieczyście jednemi...
słuchają cię — i dawne wspominają czasy,
spostrzegając, że słońce zżółkło, gwiazdy zbladły...

Kocham cię, ty natury naciągnięta struno,
na której gra Ruch, Wszechbyt, Czas i Przestrz
[wieczna;
kocham cię, rozwahana łodzi podsłoneczna,
kocham cię — i te wszystkie bóle i tęsknoty,
które przez wieki wieków w falę twoją runą!
I wszystkie te westchnienia, chęci i porywy,
i wszystkie te marzenia, żale i nadzieje,
i wszystkie te gonitwy i wszystkie te wzloty,
i cały żądz i pragnień orszak złotogrzywy,
które z siebie pierś ludzka w twój tuman wyleje
Kocham cię — ty nademną, kiedy szumisz falą,
ileż niesiesz dusz ludzkich! Ileż w tobie leci,
żywotów i sił ludzkich i ile stuleci
tęsknot, co się nad światem piętrzą tak, jak góry

Słuchajcie, jak wiatr szumi! Niech wam się rozpa
źrenice, niech pierś wzbierze, uszy się otworzą!
Słyszycie? Oto rosną ponad nami mury
tych tęsknic, które dusza od wieka, od świata
początku, od tysięcy lat, od lat milionów,
wyrzuca z siebie w przestwór! Piętrzą się i mnoż

dosięgają niebiosów i anielskich tronów,
i taka z nich ogromna moc w niebo wylata,
aż Pan Bóg rzeknie: »Stań się!«...

To jest Wola
[Świata!

Dusza, która już swoje pamięta, jakże się
gubi nieraz w twym szumie, pełna melancholii...
Jak zielone polany i strumienie w lesie,
wędrowcowi na szczycie, gdy się mgła rozrywa,
odsłaniają się zwolna, dalekie i mętne:
tak się w powiewie wiatru, cicho i powoli
odsłaniają obrazy pamięci, tak smętne,
jak żagle statku, który za morze gdzieś spływa...
Gdy pełna krewkiej siły młodość swoje ręce
wyciągała ku życiu, wciąż idąc ku niemu:
wiatr szumiał i rozszerzał źrenice chłopięce,
i rozpierał pierś młodą i prężył ramiona...
jak źrebiec, biegła młodość ku życiu jasnemu,
i nigdy nie myślała, że już żyć zaczęła,
wtem patrz: oto jest brama życia przekroczona,
aniś się spostrzegł kiedy... A w tej jednej chwili
poznania: już my za śmiech życia przekroczyli,
już nam jasność i radość na zawsze zginęła...

W chwili goryczy to się nam wydaje celem,
i to życia naszego przeznaczeniem całem...

Jesteś, o wietrze! smutnym, dobrym przyjacielem —
milczysz, więc z sercem idzie się ku tobie śmiałem,
i pogrąża się duszą przejrzystą w twym szumie
na wielką spowiedź...

A tej duszy się wydawa,
że jest jak świętość jakaś, zamknięta gdzieś w tumie,
że nigdy nie widziana i nigdy nie blizka,
jako sen legendarny ciałom we śnie błyska,
j objawia się czasem, jak cudowna zjawa,
iak róża z gwiazd, coby się, siana przez anioła,
zapaliła nad bramą na murze kościoła.

Takie wizye ma dusza człowieka...

Szum wietrze!
Szum falisto spokojnie, szum cicho łagodnie!
Niech się całe ułoży, usenni powietrze,
niech się stanie dokoła cicho i pogodnie,
i niechaj ponad ziemią zakwita niezmienny,
ten uśmiech wiekuisty, równy, zimny, senny...

O wietrze! powiedz! Ty to unosisz w bezdroże
owe uczucia ludzkie, owe serca moce,
od których człowiek w sobie piętrzy się i gorze,
a które nie zużyte, marnieją i giną,
jak niemogące dojrzeć bez słońca owoce,
jako kwiaty północy, co się nie rozwiną
i nie wydadzą z siebie tej barwy i woni,
która się w ich nasieniu już plemi i płoni?
Powiedz! Na twych to skrzydłach ulata w przestrzenie
tyle uczuć serdecznych, tyle sił spragnionych,
że człowiek byłby tulił do piersi kamienie,
ale i tych nie było!... Powiedz! Ty to w górę
unosisz tyle myśli pięknością szalonych,
że nad światem, jak drugie słońce mogły błysnąć,
gdyby był strop, na którym mogłyby zawisnąć?...
Powiedz! W tym twoim płaczu i jęku i łkaniu
nie słychać-że łkań uczuć zabitych w zaraniu,
które krążą nad ziemią, wołając z rozpaczą:
czemu nam żyć nie dano?!... Na grobową płytę
kładą ludzie przeróżne napisy wyryte,
na których słowa łkają, zawodzą i płaczą:

przecież z wszystkich słów śmierci, jakie wyrzeczono,
dobytych ze serdecznej głębiny ukrycia,
jest chyba najsmutniejszem wyrzeczenie ono:
»zdaje mi się, żem przeszedł koło mego życia...«
O wietrze! Powiedz: kędyż? nie w twojem-że
[wyciu,
unoszą się te moce nieużyte w życiu,
to Nieziszczone, które u tych, co w grób zwiśli,
musi być najsmutniejszą i najczęstszą z myśli?...

Ale jest sen, widzenie, wiara, że tam, w górze,
jest jakieś odpłacenie, jakiś zwrot w naturze,
że tam, kto tu chciał kochać i szukał miłości:
znajdzie ją; kto chciał zbawiać: zbawia; kto czuł siłę,
świecić wśród gwiazd: wirować będzie wśród światłości;
że może, gdy zrzucimy z siebie ciało zgniłe,
przeistoczeni w duchy w jednej cudu chwili,
powiemy, że zdawało nam się, żeśmy żyli...

Dumny, nieuskromiony, witaj mi żywiole!
Ty, co lecąc przez turnie szalony i prędki,
płowyś rysia grzbiet muskał, strojny w ciemne cętki,
i kiście mu na uszach wstrząsał, gdy w wąwozy
skalne kradł się wygięty, spłaszczony pod kozy;
witaj mi, wietrze górski! Ty, co tam z gór łona,
niesiesz pojęcie dzikiej, przepastnej swobody,
od której się zatacza głowa zawrócona,
pod której się wrażeniem zamykają oczy,
roztwierają się w otchłań na przepaść ramiona,
a dłoń za czaszkę chwyta... Jak wina, jak miody
poi ta myśl... Ah! ona, jak głaz serce tłoczy!
Bo jest takie pojęcie tej woli śródskalnej,
które jest dla człowieka za silne, za duże — —
my nie orły, my ludzie, a chód tryumfalny
dawno jest baśnią dzieci i piastunek pieśnią...
Idziemy i szukamy z rozpaczą w naturze,
co nam życie odjęło i pokryło pleśnią...

Witaj nieuskromiony, dumny elemencie!
słucham cię, a duch we mnie powstawa i rośnie;
słucham cię, a pierś moja oddycha radośnie...
Ty mnie kiedyś poniesiesz, błękitów okręcie,
na swoje niezmierzone, nieobjęte pola...
Tak Indyanin śni stepy niezmierne, bezkresne,
tam, kędy śmierć prowadzi przez życie bolesne,
gdzie szumi wiatr, a nigdy nie jęczy niewola.

W TATRACH



Tam, w moim kącie ziemi, kwitną teraz kwiaty,
kwitną kwiaty wiosenne, młode, bujne, świeże,
las jasne słońce z nieba w głębię swoją bierze
i szumi — (szumem pieśni, jak anioł, skrzydlaty!).

Las drogi, święty, ciemny... Gdy się dźwiga zrana
nad polaną mgła wschodnia śnieżysto-różana:
jelenie we mgle stając wznoszą w górę głowy
i ogromne poroża, oszronione rosą,
i senne świetlne głowy na polanę niosą
z lasu, gdzie szumi święty, wonny hymn wschodowy.

Święta, przeczysta Pustka, we mgłach kołysana,
rozpościera ramiona, błogosławiąc ziemi,
a kwiaty wiosny pachną i liśćmi białemi
świecą na trawie, jako na głębinie piana.

Święta, przeczysta Pustka, w której się kolebie
co jest najszlachetniejsze na ziemi i niebie:
Piękno w całym swym czarze i całej potędze —

Ono, które być może dla duszy człowieka
wiarą, miłością, szczęściem, a jak Chrystus, czeka,
by szedł k'niemu przez brud swój, przez ból swój,
[przez nędze.

Ono, które nań czeka, ciche i cierpliwe,
wierne i niezawodne... I oto ów mrący,
ów trup, przez swoje nędze, ból i brud idący,
uczuwa, że mu w piersi bije serce żywe.

I z krzykiem: ave! ave! modli się w zachwycie:
Bądź pozdrowion, napoju, który wracasz życie!
Bądź pozdrowiona, karmi, która żywisz ducha!...
I wiosnę w sobie czuje młodą — a dokoła
pachnie kosodrzewina i wonieją zioła,
i szumi las, lub pustki nieskończonej słucha.

Do wielkiego kościoła modlić się przychodzę —
(mówi znużona dusza ziemskiego nędzarza) —
niechaj mię obezwładnia, niechaj upokarza,
wiem, że mi anioł z mieczem nie stanie na drodze.

Widzę wokoło Bezmiar, lecz nie jestem w trwodze;
czuję się w ręku Potęg, nie w ręku Mocarza;
nic mię Niepojętego sobą nie przeraża;
wiem, że na mnie nie patrzy nikt mściwie i srodze.

Jestem — czem jestem. Widzę — nie wątpię. Dokoła
spokój. Miłości, łaski, niech tu nikt nie woła,
ratunku, zmiłowania, niech tu nikt nie wzywa.

Nie przychodzę tu jęczeć: jestem nieszczęśliwa!
pomocy ni litości warga ma nie żąda — —
przychodzę się nauczyć, jak Spokój wygląda.

Przyszłam tu: za się nawet nie zwracając głowy,
bez jednego wspomnienia, bez jednej tęsknoty;
wszystko rzuciłam od się — — a z mojej roboty
lśni za mną tylko długi szlak krwi purpurowy.

J'rzyszłam tu — a duch ziemi o twarzy surowej
patrzy we wnętrze moje, jak w głąb ciemnej groty;
wzrok jego jest jak płomień — i w wnętrzu ciemnoty
poczyna tleć od niego nikły blask ogniowy.

Iskry, które tłumiła niegdyś krwi pożoga,
rozniecają się, płoną... Piękność bez nazwiska,
jak zorza powstająca nad łąkami błyska...

Każdy człowiek ma w duszy swojej swego Boga,
bożyszcze w głębi lasów, dalekie, nietknięte,
dziwiące myśl zbłąkaną k'niemu: że tak święte!...

Pójdźcie do nas wy, którzy w dolinach cierpicie —
(mówią góry) — wy wszyscy nędzni, słabi, cisi;
patrzcie: niebo nad wami śmiałe, wielkie wisi,
bujne, wielkie wystrzela dookoła życie.

Niech tęsknota się waszych serc uczepi... Marzcie
o czemś Niedoścignionem... Kto pożąda Boga,
ten już przebóstwia duszę... Z serc mgła i szeżoga
niech zejdzie; serce czyste, jak źródło ukażcie.

A wtenczas się w wód jego odbije kryształe
i odśmiechnie z jasnego głębiny obrusa
światło, podobne temu, co z oczu Chrystusa
szło na ludzi, jak czyste i przejrzyste fale.

Opłyń mnie, ciemny lesie,
owiń mnie, dżdżysta mgło:
niech mi się w oczach niesie,
co było duszą mą.

Niech staną mi przed wzrokiem
rzeczy lecące z mgłą;
otul mnie, mgło, pomrokiem,
otocz mnie, lesie, ćmą.

Kochałem cię, Wyżyno,
kochałem cię, o Dal!...
kochałem obcość duszy
i dumny w pustkach żal...

Kochałem cię, o słońce,
na zimnych pustkach hal — —
kochałem obcość duszy,
i senny świata żal...

Kocham cię tak, o lesie,
i kocham tak twój śpiew:

że mógłbym wykląć z ciebie
anioła twoich drzew...

On, co się z szumem chwieje,
lub śpi w milczeniu drzew:
ze skrzydeł swoich sieje
wieczystej ciszy siew.

ŚMIERĆ



Śmierci!
Patrzysz tak na mnie dobremi oczyma,
nie upiór straszny, nie kościana mara,
lecz jakaś wierna towarzyszka stara...

Patrzysz tak na mnie dobremi oczyma...

Z mojego życia cóż oto wyniosłem?
To, że mam — ciebie...

Gnany przez czucie i przez wyobraźnię
pragnąłem Życie budować, szalony,
a byłem tylko dla ciebie stworzony...

To było mego bytu przeznaczenie...
szedłem: sam jeden; przeminę: jak cienie...

Ty na mnie patrzysz dobremi oczyma,
ty wiesz, że ducha byt cielesny trzyma,

że duch jest ciału obcy w każdem włóknie,
w olbrzymim Ruchu uroniony atom,
stracona cząstka olbrzymich Żywiołów,
obca zarówno atomom, jak światom...

Cyt... to gra Śmierć...

Wstrzymajmy rękę... wstrzymajmy krok...
Cyt! to gra śmierć... Przez blady mrok
płynie muzyka z dali, z dali...
Wstrzymajmy oddech, wszelki ruch,
abyśmy nic nie postradali
z tej pieśni, co nam koi słuch;
abyśmy nic nie uronili
z tej pieśni, co nam serce leczy;
abyśmy w jednej krótkiej chwili
odczuli byt pozaczłowieczy...

Nie będzie długo grać...

W przelotne, wietrzne mgły się wcieli,
zniknie jak obłok, jako cień — —
pomnimy, żeśmy mieli dzień,
gdyśmy grającą Śmierć słyszeli — —
pomnimy taki dzień...

Cyt — — to gra Śmierć... To jest gra dla tych bytów,

Które się kruszą już i walić mają w rum...
Głęboki, cichy dźwięk przepastnych stalaktytów,
odległych źródeł gra... Jestto lasowych dum
wieczny, falisty szum, cudowny i spokojny...

O Śmierci! pierwszy raz, pierwszy raz w życiu słyszę
dostojny taki ton, instrument taki strojny...
O Śmierci! grajże, graj! wypełnij to zacisze
muzyką skrzypców twych, harmonią twej muzyki,
niech pod konarów strop podnosi się twój śpiew,
niech — jako tęcze lśnią u okien bazyliki —
fale muzyki twej lśnią wśród konarów drzew...

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska
jest jedna Pani cicha, spokojna i blada...

U jej stóp jest jezioro słoneczne i szklane,
w niem obraz jej odbity, a opodal stoi
z marmuru Sfinks wykuty i w to pozłacane
jezioro zanurzony, bieli się i dwoi.

Staję przed nią i długo patrzę się w jej lice,
w lice pełne wieczystej, królewskiej pogody...

Drzewa szumią w ogrodzie i nade mną przędą
sieć legend, jak baldachim ze słońca dziergany;
usypiam pod tą wieczną, szumiącą legendą
patrząc w biały kształt Sfinksa w wodzie pozłacanej.

Jej uśmiech wszystko w duszy ciemniach wypogadza
i spokój nieznajomy w głębi duszy rodzi...

Wszystko ludzkie precz kędyś ode mnie odpływa
przed obliczem tej Pani w słonecznym ogrodzie;
wśród drzew szumiących mieszka i Śmierć się
[nazywa,
a Sfinks u stóp jej szkli się w pozłacanej wodzie.

FRAGMENTY

Człowiek, któremu szumi wiatr we wnętrzu ducha,
wyszedł na pole rano, gdy świeciło słońce,
i rozpuścił dokoła swe oczy widzące,
i otwarł w krąg słyszącą konchę swego ucha.

Szeleściła jesienna górska trawa sucha
i z pustek górskich chmury biegły śpiewające;
szedł wiatr, który się włóczy, jak serce marzące,
melancholijne serce, które wiatru słucha.

I myślał człowiek: jest tu jakaś forma krucha,
w którą się wkłada życie smutne i tęskniące,
aby kwitło, jak kwiaty, co więdną na łące,
i błyszczało, jak mlecze, które wiatr rozdmucha;

forma, z której nic nigdy na dziw nie wybucha,
melancholijne, wielkie jezioro stojące,
w którem się topi życie, na pustkach błądzące,
ludzi, dla których wiatru szum jest rdzeniem ducha.

* * *

Niechaj więc będą smutni jak wody jeziora,
które się czerni w skałach bez łkań i bez śpiewu;
oni w górze, nad sobą, szukają odzewu,
zkąd szumi wiatr — lecz żadna nie spływa pokora...

Dalej, dalej, niż wszystko, co się z ziemi rodzi...
dalej, dalej, niż wszystko, co niebo dać może...
dalej, dalej, niż wszystko, czego w gwiazd powodzi
Ty mógłbyś pragnąć, Ty byś mógł pożądać, Boże...

Dalej, niźli się Tobie mogłoby śnić w górze...
I któż to? Człowiek z głową na ręku opartą,
człowiek w swej małej, wątłej, nikczemnej naturze
pytający, czy być nim byłoby mgle warto...

Z głową wspartą na ręku, smutny i zmęczony,
patrzący tak, jak żeglarz z pokładu okrętu
na miliony zagłębień i karbów miliony,
któremi się dokoła waży toń odmętu...

Dziecinne to igraszki... Można skonać z męki
i ta męka być może jak monstrancya świętą,
i ludzie żyją w serca komórce maleńkiej,
i duszę mają w mózgu łupince zamkniętą.

Dziecinne to igraszki — — tak — — ale są przecie
ich krwią zaczerwienione, zlane łzami, potem,
są ich całem istnieniem, ich celem na świecie,
z nich jest ich skarb, to wielkie, zbawiające: *potem!...*

Mają swoje wierzenia, swoje duchy wieszcze,
zamknięci są w wypadków ziemskich skrzącem
[kole — —
tam nad nimi ogromny wiatru szum szeleszcze,
lecz znaków tej potęgi nie widzę na dole.

Niewidzą i niemają nic boskiej mądrości;
muszą zdobywać, walczyć, kochać, nienawidzieć,
a wicher twórczych potęg nad głową ludzkości
dmie, sieje, choć się czasem wieki nieda widzieć.

Pierwiastek złego w duszy, albo w ciele,
kiedy mu życia bieg fatalny sprzyja,
zwolna i skrycie w sobie się rozwija,
straszliwa magna pars w rozwoju dziele.

Jak wąż, pełznący przez gąszczu topiele,
nagle podchodzi i żądłem zabija:
pierwiastek złego ukryty, jak żmija,
zrywa się pełnić swoje straszne cele.

Napróżno pragniesz zapomnieć, zwyciężyć:
zło się rozpręża i zaczyna ciężyć
na każdym dniu twym, na każdym twym czynie.

Wówczas cierpiący, bolesny duch płynie
w czas, kiedy w dziś już niepojętej dobie,
pierwiastkuś złego nie przeczuwał w sobie.

Śnią mi się często świata cudowne widoki,
piękniejsze, niźli wszystkie na ziemi widziane:
czarodziejskie ustronia, oparte o ścianę
gór, które się wydają, jak niebiosów stoki.

Śnią mi się także ludzie twarzy jasnookiej
i jasnej, białej duszy, których serca siane
są światłem dnia, a czucia z leśnych łąk zebrane,
jak miód: mają słodycze i zapach patoki.

I marzą mi się czucia własnej duszy mojej,
głębokie i tak czyste, jako nurt kryształny,
gdy się w kotlinie górska woda uspokoi.

To jest to, co nad nami wieczyście się waży,
porywom ku Lepszemu wieczyście na straży,
wyższe nad wszystko z nizin, jak ów motyl skalny.

Nieznanych, niepojętych, ledwo widnych lądów
widnieję mi dalcko skraj siny w przestrzeni;
niema tam wież nadbrzeżnych, wieszczbiarek wylądów,
niema portów przystannych, ciosanych z kamieni.

I niewiem: kwieci się tam jakie zboże? kwieci
złotopienna pszenica? jęczmień złotowłosy?
Żniwiarzom śpiącym w polu, gdy się rosa świeci,
czy się śni, że na oczach mają gwiazdy z rosy?

Jestli tam dąb szumiący i klon rozesłany
koroną na błękicie, jak baldachim wonny?
Są tam jakie kościoły? są jakie kurhany?
Są dzwony-Archanioły? są pieśni-Madonny?

Niewiem, ale przed duszą w oddali, w oddali
ten ląd nieznany smugą widnieje mi siną,
i oczy ponad wszystko, co je w słońcu pali,
lecą tam — — tam szukają czegoś — — za głębiną...

* * *

Kocham tę tajemnicę, tę świętość odległą,
trzeba mi jej do życia, do krwi mi jej trzeba:
gdyby serce człowieka za ziemię nie biegło,
nie czułby, że coś jest w nim, co przychodzi z nieba.

Melancholię, tęsknotę, smutek, zniechęcenie
i ból bezwładnych ramion, kiedy serce pęka,
kiedy się w krwi, jak wichry, zrywają płomienie,
i w pięść, co być powinna, jak piorun, gnie ręka:

To rodzi ziemia — czują to i mówią ludzie.
Są cierpienia tak święte, jak monstrancya złota —
ale tam — — wiedzie anioł po ścierni i grudzie
na skraj ziemi, gdzie głębin ściele się ciemnota.

I pokazuje ręką w przestrzeń wychyloną
ów ląd ledwo widoczny na wzroku zenicie,
i idzie, a odwraca twarz swoją zamgloną,
jakby mi chciał powiedzieć: pójdź za mną — tam
[Życie.

Na mej duszy strunach dłonie
ty, o wichrze, złóż:
graj, co marzą jezior tonie,
co śnią światła zórz...

Graj, co szumią tam, z przełęczy,
senne limby te...
Graj, co marzy koło tęczy
w otchłani na mgle...

Co najskrytsze, co najcichsze,
co stracono gdzieś,
co najdalsze: ty, o wichrze,
do mej duszy nieś...

Wsłuchujcie się w szum duszy!.. Gdybyście umieli
słuchać, widzieć i kochać! Gdybyście tak byli,
jako ci, co dusz waszych idee astralne
noszą w sobie, na niebo rzuceni anieli!
Gdybyście nie żywotem waszych ciał tu żyli,
ale byli jak ducha państwo idealne,
ku któremu, co zwie się Bogiem, czoło chyli!

Jest przed nami pojęcie, co niema imienia,
lecz każdy je w swem sercu i w swym duchu
[chowa.

Jest to to, co jest Lepszem, jest to świat Pra-
[gnienia.
Poznajcie, że na ziemi tutaj każda głowa
może mieć aureolę i błyszczeć, jak święta,
bo jest gdzieś świętość w ducha pierwiastku za-
[klęta.

Jest Dobro, które rwie się, burzy i ogłasza,
i które tak się lęka śmierci, że przeraża!

Jest dzwon, który mszę wielką i świętą wynasza
i który wszystkich wiernych woła do ołtarza —
lecz wielu, co świątyni stanęli u proga,
odchodzi — — nieumieją się dopatrzeć Boga.

O CUDNA MYŚLI MŁODZIEŃ-CZYCH PAMIĘCI...

O cudna myśli młodzieńczych pamięci,
umiłowane wspomnienie snów śpiewnych:
tobą się dusza rozświetla i święci,

jak echem wiejskich pieśni modlitewnych...
O sny, marzące różowe dni całe
i modre oczy błądzących królewnych...

Jakże się oczy zwracają nieśmiałe
ku tym minionym latom i przeżytym...
O dni minione, o chwile przebrzmiałe,

podobne pieśniom w marmurach ukrytym,
podobne słowom w ksiąg zamkniętym pyle,
podobne czaplom w obłokach zabitym...

O drzewo tęsknot wzrosłe na mogile,
o cudna myśli młodzieńczych pamięci,
o zatopione powodzią idylle...

Byliśmy niegdyś obłokiem objęci,
marzyły nam się kopuły z błękitu,
marzyliśmy się z ludzkich praw wyjęci,

dzieci pragnienia, mocy i zachwytu —
czas zszedł — oprzyjmy o głaz leśny głowę,
słuchajmy szumów lasu i granitu.

Przed nami leżą morza szafirowe,
białe się piętrzą i radosne miasta,
łan się nam w kwiaty ubiera różowe,

z konwią na głowie przechodzi niewiasta
i do cichego nas progu zaprasza —
a oto darń już tę ziemię zarasta,

gdzie się układła bujna młodość nasza...
Błądźmy więc smutni, samotni przez gaje,
które zachodząc zdaleka okrasza

niezwrotne słońce... Niech zmartwychpowstaje
mara własnego naszego żywota — —
cudzem on życiem nam się dziś wydaje,

a naszą tylko bezdenna tęsknota...

Pierzchły miliony lat... Ze zwisłą głową
człowiek, wsłuchany w oceanu głuszę,
patrzy na wielką tę głąb bezbytową,

a mrok i smutek owłada mu duszę — —
nad nim milczenie niebiosów straszliwe
i tylko balsam śmierci na katusze.

Apokalipsy koń, rozwiawszy grzywę,
niosąc na grzbiecie Niewytłómaczone,
Dziwne i Straszne: gna przez jego niwę.

Jako się słońce jawi przez zasłonę
kurniawy śnieżnej, nakształt kuli bladej,
zaledwo widne, drżące i zaćmione;

jak z głębi dolin słychać szum kaskady,
co się ku szczytom ledwo głośny wspina,
na nikłych szmerów rozbity mirjady:

Tak człowiekowi byt się przypomina,
dawny, miniony, zaranie żywota,
jakaś stracona, anielska kraina...

O pieśni gwiezdna, o pieśni z gwiazd złota!
Śni mi się zawsze, że te jasne cienie,
którym wzrok w gwiazdy prowadzi tęsknota,

a nieba wskroś jest otwarte sklepienie:
po wirze przemian, co się rwą i kruszą,
w nas są, swe własne straciwszy istnienie,

pięknością świata zadumaną duszą...

Albowiem nieraz czułem — i myślałem,
zkąd się nam w sercu nadśmiertelność bierze?
Zkąd to, co nie jest ziemią, ani ciałem,

ale jest cząstką w świata atmosferze?
Albowiem nieraz pytałem sam siebie,
o jakie bije łódź moja wybrzeże

i na jakiej się odtoce kolebie
morza, co szumi gdzieś w Nieskończoności,
i jaki odmęt w sobie ją pogrzebie?

Albowiem nieraz czuję, że od kości,
od mózgu mego, od serca, od krwi mej,
od całej mojej człowieczej istności:

odstaję, jako tych obłoków dymy,
które się snują nad Tatrami czyste,
lotne, niezwięzłe, chłodne, jak dech zimy.

Słońce się na nich przesnuwa świetliste,
lub wiatr je w taniec zatacza okrętne,
lub o załomy strzępią się skaliste,

a płyną dziwnie ciche, obojętne,
na szafir szczytów, na zieloność hali
I na zwierciadła jezior patrząc smętne.

Płyną — świat życia widnieje im w dali
pełny uroczysk, przepaści, topieli;
tysiące jestestw podnosi się, wali,

rodzi się, kona, kwitnie i popieli,
a one płyną gdzieś precz dalej, dalej,
dalej i dalej — aż je błękit wcieli

i toną kędyś w niedościgłej fali...

O melancholio, ty, co wszystkie rzeczy
pod kątem śmierci ukazujesz oku;
ty, co na smutny, błędny wzrok człowieczy,

ze styksowego rzucasz mgłę potoku:
ty jesteś matką owych widzeń duszy,
gdzieś się u nieba zradzających stoku...

I oto biorąc w rękę kij pastuszy,
jako za gwiazdą niegdyś betleemską:
za wiarą w smutku zrodzoną i głuszy,

dusza wychodzi po za krawędź ziemską,
i z trudem w gwiazdy podnosi się zwolna,
jakby na górę szła jeruzalemską...

Aż wreszcie ziemi odbieżawszy, wolna,
precz odtrąciwszy swoje ziemskie ciało:
przez chwilę spełnień niepojętych zdolna,

przez chwilę dziwną i świętą brzmi chwałą,
bramy tajemnic gwiaździstych otwiera
i ma poddaną Moc stworzenia całą...

Tam to jest owa dziwna atmosfera,
gdzie się uczuwa ludzka istność nasza
wyższą, silniejszą — nad słowo: umiera.

Tam już nas obraz istot nie przestrasza
pojętych nakształt Władających Mocy;
tam ust umilkłych naszych nie okrasza

uśmiech poznania własnej swej niemocy,
ani jak Roland w ronsewalskim jarze,
rogiem rozpaczy wzywamy Pomocy...

Tam nie stąpamy więcej przez cmentarze
umierających siebie samych co dnia;
już się nam więcej czas nie patrzy w twarze

z szyderską wzgardą, jak lud w twarz przechodnia,
serce nie pada nam w kurz wysilone,
ani się mózg nasz kurczy i zwyrodnia.

I niema żalu... Źrenice spuszczone
już się w głąb własnej nie staczają jaźni
za tem, co znikło — niewzięte — stracone...

Ani już więcej człowieka nie drażni
chęć być, czem nie jest, czem być chce napróżno
i czem się widzi w pustej wyobraźni...

Ani jest klęska ni śmierć więcej groźną,
ani jest trwoga większem upodleniem,
ani samotność życia więcej mroźną:

jak ta ironia wagi między chceniem
a mocą ludzką, jak klątwa równania
istoty swojej z jej wyobrażeniem.

O melancholio! Ty szlesz te pytania,
na które niema jest myśl i nauka,
aż utrudzony wreszcie do skonania

duch pragnie baśni i u gwiazd ich szuka.

O pieśni, pieśni, która płyniesz z białej,
z cudnej krainy, pieśni oddalona!
Z ciebie się leje ów hymn nieprzebrzmiały

przez milion wieków od wieków miliona,
który my siejem przez palce Tej Ręki,
co się nad nami wznosi zawieszona.

Jest to ucieczka od trwogi i męki,
myśl raju, gdzie się dusza tęskna wraca,
uporne, wieczne, wracające dźwięki,

przemoc, pod którą myśl siłę zatraca,
urok powieści i ludzkiego ducha
uporna, ciągła, twarda, dziwna praca,

której się rytmu gdzieś tam u gwiazd słucha...
Lecz po co sobie przypominam, tworzę,
po co ta duszy wnętrzna praca głucha:

Ty tylko jeden wiesz, gwiaździsty Boże!

CIEMNOSMRECZYNSKI LAS

[illegible]

To jest mój najpiękniejszy sen...

Tam, w pustce, ciemnych jezior głąb,
ciemnosmreczyński szumi las,
skał głuchych nad wodami zrąb,
uśpiony, wiekuisty Czas...

Od Ciemnych Smreczyn idzie szum
z nizkiej doliny, z starych drzew,
i skał straszliwych cichy rum
owija w kołyszący śpiew...

Tam gdzieś spoczęło ciało me
w domku z granitu wytchnąć raz...
Kolébę mi tam zbudowali,
której cios żaden nie rozwali
i to jest dom mój, własny, mój!

Ciemnosmreczyński szumi las — —
o lesie! lesie! lesie mój!...

W cichą, miesięczną, jasną noc,

gdy lotnych, ledwo widnych chmur
srebrni się w głębi nieba rój,
wysoko kędyś, w bezdni, hen:
tam, pod skał osrebrzony mur,
patrząc się w czarny w dole staw,
wśród szeleszczących z wiatrem traw,
duch mój spoczywa, patrzy się — —

To jest mój najpiękniejszy sen.

Muzyka, gęśle grają mi — —
jedna z tych starych, dawnych nut
w jesiennej usłyszana mgle,
we watry zadzwoniona błysku,
zakołysana w głuszy grót,
jedna z tych starych, dawnych nut,
starym się bacom śniąca w śnisku,
przychodzi mi w pustyni grać...

Hej! Grajże mi ty niewidzialna
gęśli powietrzna! graj mi! graj!
Już my to więcej pełni sił
nie staniem nogą na urwisku,
aby w nas halny wicher bił,
a nie mógł do przepaści zwiać!
Już my to więcej młodej dziewki
w pachnący nie zawiedziem gaj,

nie rozerwiemy jej koszuli
na piersiach białych, jako kwiat,
nie rozerwiemy jej koszuli,
aż nas, jak ogień drwa, przytuli,
aż nam zamroczy cały świat...

Już my nie rzucim w echo śpiewki,
od której ze skał lecą skry — —

hej! stary baco! minął świat,
kajsi tak wszystko gna, jak mgły...

Grajże mi, graj, ty wędrujący
powietrzem grajku w noc miesięczną...
Kędyś jest? Czy cię cicho wiozą
mgły srebrne, tak, jak na wesele?
Czy cię wiatr niesie górą rwący,
jak pióro z orła, co szeleści,
lub jak bukową gałęź dźwięczną?
Czyliś przy jakim archaniele
kęsi siadł w turniach, jak w kościele,
i pod olbrzymich skrzydeł grozą
zamierzchłe brzęczysz Mu powieści?...

Ciemnosmreczyński stary las!
las ukochany, o las mój!
Tam rzeka, tocząc się przez głaz
jęczy i wyje i zawodzi — —

tam śpiewająca Cisza chodzi
samotna, piękna pośród drzew,
w deszczowy szklanny patrzy zdrój,
trąca z konarów zwisłe mchy,
i wielkie, złote pajęczyny;
tam żółte kwiaty z śród wikliny
patrzą, jak zadumane oczy;
tam senna paproć w gąszczu drży,
rudych się szczawiów chwieje krzew
i z ciemnych smreków, jako krew,
świeci czerwony krzak maliny.

O niewidzialny grajku, graj,
graj starodawną nutę Tatr,
co się nocami jeszcze włóczy
po pustkach opuszczonych hal
i starym bacom w uchu dzwoni,
gdy śpią przy smolnym dymie z watr — —
i śni im się, że znowu w dłoni
śmiga im ciupag twarda stal...

graj, co nie wróci nigdy już...

Ciemnosmreczyński stary borze:
tam, ponad tobą jest mój dom.
Tam, we chmur utopiona morze,
w odmęt jesiennych, wietrznych burz:

dusza się moja pnie pod złom,
dusza się moja w żlebach kryje,
po stromych zboczach urwisk pełza,
po ślizgich, strasznych turniach kiełza
i patrzy w przepaść, w otchłań, w dół,
w ciche głębiny czarnych wód...

Jesienny, mroźny wicher wyje — —
jedna z tych starych, dawnych nut
płynie powietrzem z wichrem współ,
płynie, skrzydłami o las bije...

To jest mej duszy krewny śpiew,
pieśń, z potraconych w pustkach drzew,
z wierchowców, co się w chmury strzępią,
z czarnych, głębokich, zimnych wód — —

pieśń piersią wyśpiewana sępią,
bezdennej samotności śpiew...

Ciemnosmreczyński stary lesie,
już cię śniegowy oblekł szron:
szumże z zawieją, kołyszże się
jak wielki, dźwięczny, srebrny dzwon.

DZWONY

TRYPTYK

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,
idzie przez łąki i moczary,
po trzęsawiskach i rozłogach,
po zapomnianych dawno drogach,
zaduma polna, Osmętnica...
Idzie po polach, smutek sieje,
jako szron biały do księżyca...
Na wód topiele i rozchwieje,
na omroczone, śpiące gaje,
cień, zasępienie od niej wieje,
włóczą się za nią żal, tęsknica...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
na grób dziewczyny młodej siada,
w świat się od grobu patrzy blada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
tumany się po wydmach wodzą,
a rzeka szemrze, płynie w mrokach,
płynie i płynie coraz dalej...
a coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
traci się w górach i w obłokach,
i już nie wraca nigdy fala,
co taka smutna ztąd odchodzi...
przepada kędyś w mórz głębinie
i już nie wraca nigdy zdala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką
nad ciemne dachy, kryte słomą — —

wleką się, snują gdzieś daleko,
zawisną chwile nieruchomo,
i giną w pustem gdzieś przestworzu...
Może za rzeczną płynąc falą,
polecą kędyś aż ku morzu...
a mrok się rozpościera dalą
i coraz szerzej idzie, szerzej
i coraz cięższy, gęstszy leży,
zatopił lasy, zalał góry,
pochłonął ziemię do rubieży,
na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
idzie ze swojem złem i bolem,
po zbożnym łanie i po lesie,
wszędy zło swoje, swój ból niesie,
i swoją dolę klnie tułaczą,
i swoje losy klnie straszliwe,
z ogromną skargą i rozpaczą
przez zasępioną idzie niwę...
Idzie, jak widmo potępione,

gwiżdże koło niej wiatr i tańczy —
w którą się kolwiek zwróci stronę,
wszędzie gościniec jej wygnańczy — —
nigdzie tu miejsca niema dla niej,
niema spoczynku, ni przystani...
Idzie przez pola umęczona,
łamiąc nad głową swą ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...

CZĘŚĆ DRUGA.

W przestrzeń powietrzną biją dzwony,
niech będzie ziemia pozdrowiona,
niech będzie błękit pozdrowiony,
w przestrzeń powietrzną biją dzwony,
a każdy spiżu brzęk rzucony
jest jako smuga krwi czerwona.

Samotna dusza ludzka leży
na zamroczonych polach śniegu,
we mgle się las ponad nią jeży,
i księżyc, jako zegar z wieży,
lśni we mgle złotem kołem brzegu.
Po zamroczonych polach śniegu
włóczy się Pustka bladolica,
włóczy się Smutek zwisłogłowy,
włóczy Samotnia, której z głowy,
z pod włosów trupia kość prześwieca.
Po zamroczonych polach śniegu,
pod las, co we mgle szczyty jeży,

w psa szalonego błędnym biegu,
to tu, to tam zwracając nogę,
jak upiór co za łupem bieży:
Śmiech wydeptuje błędną drogę.
Za każdym śladem jego stopy
śnieg syczy, dym i płomień pryska — —
gdy Smutek wejdzie na te tropy,
zda się, że padnie, ale milczy...
A Śmiech gna dalej, dalej, dalej,
i spalenizną z pod nóg błyska,
i pędzi, pędzi i śnieg pali,
pysk, jak wilkołak, szczerzy wilczy,
i leci, smrodny siarką, trupi,
leci okropny, suchy, głupi...

W przestrzeń powietrzną biją dzwony,
niech będzie ziemia pozdrowiona,
niech będzie błękit pozdrowiony,
w przestrzeń powietrzną biją dzwony,
a każdy spiżu brzęk rzucony
jest jako smuga krwi czerwona.

Samotna dusza ludzka leży
na zamroczonych, śnieżnych polach — —
już nie pamięta o swych bólach,
we własną istność swą nie wierzy.
Jest jako kamień, pień zrąbany,

martwa spoczywa popod lasem — —
patrzy na księżyc ołowiany,
na Smutek, Pustkę i Samotnię,
na Śmiech, co ognia skrzy się pasem;
słucha, jak dzwonów grzmią organy,
toczą się we mgłę i zawrotnie
w serce jej toczą się z hałasem...
patrzy, jak lecą smugi krwawe
mgle na żer, nocnej ćmie na strawę...

W przestrzeń powietrzną biją dzwony,
niech będzie ziemia pozdrowiona,
niech będzie błękit pozdrowiony,
w przestrzeń powietrzną biją dzwony,
a każdy spiżu brzęk rzucony
jest jako smuga krwi czerwona.

Samotna dusza ludzka czuwa
na śnieżnych polach: nad jej czołem
księżyc swą mroźną sieć rozsnuwa
i blask swój rzuca zimny, trupi,
i ściga Śmiech, co bieży kołem,
ściga Śmiech błędny, suchy, głupi,
i w blasku swego wężowiska
tak go oplata jasno, świetnie,
że dusza widzi w jego gębie
każdy ząb wilczy, jak połyska,

każdy ząb, co jak ostra kosa,
woń kwiatu, ziół strzelistość przetnie...
i księżyc chowa się w chmur kłębie,
i płynie kędyś przez niebiosa.

W przestrzeń powietrzną biją dzwony,
niech będzie ziemia pozdrowiona,
niech będzie błękit pozdrowiony,
w przestrzeń powietrzną biją dzwony,
a każdy spiżu brzęk rzucony
jest jako smuga krwi czerwona.

W wieczornym mroku dusza tonie
w roztoczy śniegu pustej, białej — —
księżyc się snowa na jej skronie
i wzywa oczy: by szukały,
i wzywa ucho: by słuchało,
i wzywa serce: aby biło...

Pod zrosłych smreków ciemną bryłą
ciche się widmo ukazało.
Gdy księżyc zalśnił srebrnym blaskiem,
zalśniło z głowy jakby kaskiem:
To białej kosy ostrz przelśniewa
nad głową nizko podniesionej.
Widmo oparte o pień drzewa
siedzi z kolanem w górę zgiętem,

powłóczne kryją je zasłony,
z obliczem siedzi osłoniętem.
W ukrytej wpośród osłon twarzy —
dziw! — zda się pusto w oczodołach,
a jednak blask się ztamtąd żarzy
jak w nocy świece po kościołach.
I te źrenice półkryjome,
spokojne, jasne, nieruchome,
których i Bóg sam — znać — nie wzruszy,
w twarz poczynają patrzeć duszy...

W przestrzeń powietrzną biją dzwony,
niech będzie ziemia pozdrowiona,
niech będzie błękit pozdrowiony,
w przestrzeń powietrzną biją dzwony,
a każdy spiżu brzęk rzucony
jest jako smuga krwi czerwona.

I gdy przez pola błądząc białe,
Samotność, Smutek, Pustka staną
przed tą źrenicą martwą, szklaną:
staną bez ruchu, wpółzmartwiałe;
i jakby w mocy tych płomieni
stopione przez te zimne żary:
nikną i giną na przestrzeni
jak spalonego torfu pary.
Jak ptak wabiony wzrokiem węża,

Śmiech błędne swoje koło zwęża,
krąży i w tył się cofa, zwraca,
a jednak przestrzeń, co go dzieli
od drzew na śniegu mrocznej bieli,
jakby zmuszony skrócić — skraca.
I pod oczyma mary bladej
gasną ogniste jego ślady,
obłąd się zwęża do pierścienia,
staje i w lodu słup się zmienia.

Przez Śmiechu lód w księżyca lśnieniu,
jakby przez szybę kryształową
Dusza i Śmierć na siebie patrzą...
Gwiazdami wstaje noc nad głową —
jedną o złotej mgły promieniu
i drugą od turkusa bladszą...

W przestrzeń powietrzną biją dzwony,
niech będzie ziemia pozdrowiona,
niech będzie błękit pozdrowiony,
w przestrzeń powietrzną biją dzwony,
a każdy spiżu brzęk rzucony
jest jako smuga krwi czerwona.

I nagle zda się duszy, że się
zrywa ze śniegów, że powstawa,
że jakieś hymny słyszy w lesie,
że w nim migoce głąb złotawa;

zda się jej, że tak pragnie życia,
iż zimne głazy, przymarznięte,
wydziera z ziemi, krwawiąc ręce,
a ran tych ból ją z martwych budzi,
w ranach się wznieca, jak w jutrzence...
I zda się jej, że dzwonów bicia
to są wołania sił ocknięte;
i zda się jej, że krew, co brudzi
z jej rąk śnieg biały; to siew zboża...
i zda się jej, że miesiąc w niebie,
to jest słoneczna, ranna zorza...
i zda się jej, że czuje siebie,
ból czując: w istność swoją wierzy...

Czas idzie... Śmierć i ludzka dusza
patrzą na siebie, oczy w oczy,
ni jedna gałąź się nie rusza,
ni jedna gałąź nie zachwieje...
Cisza, że, zda się, w niebo wieje
i w sieć bez ruchu gwiazdy spina...

I zwolna, cicho, z leśnej mroczy,
z za drzew się smutek ciemny jawi,
Pustka, Samotnia idzie sina,
i zdala wolno, lecz wciąż bliżej,
to tu, to tam zwracając nogę,
Śmiech się na śniegu zajaskrawi,

i coraz śmielszy, więcej chyży,
zatacza swoją dawną drogę — —
Palącej śmierci widmo mnisze
odeszło w leśny mrok i ciszę...

Strach jakiś idzie ponadziemny — —
gry dzwonów dusza ludzka słucha
I widzi cień swój własny ciemny,
jakoby kształt obcego ducha...
i widzi życie swe przeżyte,
widzi swe wczoraj, co nie wraca;
widzi swojego życia pracę,
na którą pada całun trupi:
boleść, której nic nie odpłaca,
mozół, za który nic nie kupi,
choć ból jest jako złoto lite,
choć trud jest jako w kryształ rżnięty.
Widać dzień każdy tak odcięty
i tak na krwawą dany tacę,
jako Zwiastuna głowa Jana,
przez którą była zwiastowana
Jutrznia... Noc każda z mieczem schodzi,
świt każdy, jako Zwiastun wschodzi...

Na śniegach dusza ludzka słucha — —
słucha — lecz dzwonom wbrew kołace
klekot drewniany, głośny, twardy,

takiej bezmiernej pełny wzgardy,
tak pnący się coraz donośniej,
coraz potężniej, widniej, głośniej:
że zgłuszył dzwony i w głęboki
sklep nieba bije jeden, główny,
spokojny, mocny, wieczny, równy,
jak wieków równo grzmiące kroki.

Dusza się ludzka trwogą wzdryga,
czy głosu tego, co ściemił dzwony,
nietylko cień jej w mrok rzucony,
lecz ona sama pęt nie dźwiga?
Czy cienia tego błędna plama,
co się w pomroku ukazała:
to nie jest kształt jej, ona sama,
czy to nie wszystko, ona cała?...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony;
na Anioł Pański biją dzwony
w bezdeni kędyś głos ich kona.

Na Anioł Pański biją dzwony,
ani się dymią, ani palą — —
spokojną, równą płyną falą,
płyną nad lasy, ponad góry,
płyną nad wody, wsie, ogrody,
nad torfowiska i kamieńce,
nad mgieł przedwschodnie korowody,
pod gwiazd przedwschodnie blade wieńce;
płyną na pierwszy gdzieś w ukryciu
uścisk miłości, dany w życiu...
Ptaki, nim do snu stulą głowy,
śpiewają, wśród gałęzi skryte;
milczy i marzy las smrekowy,

jak gdyby miał zaczarowane
serce, w pomroczną pierś schowane.
Około krzaków jałowcowych,
w ciemnych choinach, w mgłach perłowych:
błądzą Leśnice-Osmętnice,
samotne, tęskne, w mrok owite.
Ponad szemrzącą cicho wodą
włóczy się smutny cień, Tęsknota;
blask pierwszej gwiazdy na swe lice,
na usta bierze jej rumieniec,
w oczach zapala skrę jej złota,
czoło swe stroi jej pogodą,
włosy w jej tęczy stroi wieniec...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony;
na Anioł Pański biją dzwony,
w bezdeni kędyś głos ich kona.

Gdzieś w pustym lesie, w głębi mroku
ukryte, ciche Szczęście chodzi,
i ściga falę na potoku,
co mu z pod oczu precz uchodzi;
i chwyta powiew wiatru w dłonie,
co mu z rąk dalej chybki wionie;
i szmer piór ptasich łowi w ucho,

który przepada w przestrzeń głuchą...
Chodzi i błąka się po lesie —
wszędy swój uśmiech z sobą niesie,
na ustach krasny ma rumieniec,
z oczu światłością świeci złotą,
czoło ma strojne w kwiatów wieniec,
co się z włosami w jedno plotą.
Idzie spokojnie w leśną ciszę —
zaczarowane serce boru
w senny, spokojny rytm kołysze
pod pierwszą gwiazdę przedwieczoru...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony;
na Anioł Pański biją dzwony,
w bezdeni kędyś głos ich kona.

Idzie samotna dusza borem,
idzie za swoją myślą głuchą;
za nią niewidnym tajnym chórem
leśne się wleką Osmętnice
i myśl jej swoją szepcą w ucho...

Już gwiazdy wschodzą światłolice,
te, które złoty róż promieni,

te, które błyszczą modro-złoto,
o skrach rubinu, skrze zieleni.

Zalśniło niebo... Wkoło duszy
wian Osmętnice leśne plotą
i śpiew kołyszą swój pastuszy,
tak cichy, że go tylko słyszą
gałązki drzew, co wkoło wiszą,
i mgły, ich stada, co się włóczą,
jakby się pasły na wilgotnych
mchach, mokrych trawach, wydmach błotnych,
jeziorkach, gdzie się gwiazdy świecą...

Za duszą Osmętnice lecą...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony;
na Anioł Pański biją dzwony,
w bezdeni kędyś głos ich kona...

Dusza wyciąga wokrąg dłonie —
chciałaby objąć wszechświat cały,
chciałaby uczuć w jego łonie
bijące serce...

Coraz więcej

na niebo wschodzi gwiazd nad głową,
już są tysiące ich tysięcy,
niebo jest tonią brylantową.
Na niebie gwiazdy zapałały
złote, błękitne, rubinowe;
mienią się, plączą, drgają, płoną,
świetleją coraz nowe, nowe,
szarfami przez niebiosa wioną — —
i to jest wszystko.

Gdzieś tam w lesie
ostatni dźwięk się dzwonów niesie,
i gdzieś tam szczęście w lesie chodzi...

Zdziwiona dusza jest milczeniem,
ni jeden głos się nie odzywa,
nic się nie głosi współistnieniem,
nic się ze serca jej nie rodzi...

Zaczarowane serce boru
nie w rytm jej serca prędki bije — —
w powolny wielki szum przepływa...

Ani z wód, które płyną, chóru
rytm się w rytm serca jej nie wwije...

W lasach, na wodach, pod gwiazd sznury,
od ziemi aż do nieba progów:

jedna bezmyślność wszechnatury,
bezmyślny spokój greckich bogów.

Wian Osmętnice plotą wkoło,
coraz ich więcej, więcej schodzi;
tajemnym chórem wiodą koło,
myśl swą szeptają duszy w ucho,
coraz są bliżej, coraz bliżej,
jak fale morza koło łodzi,
aż się wśród nich z widoku zniży...

Myśl swą szeptają duszy głuchą...

A w dźwięku dzwonów, które dzwonią
na Anioł Pański na przestrzenie:
powstaje wiosna umajona,
zielone świata podniesienie.
Klękają przed niem pola, łany,
klękają łąki, moczarzyska,
góry podnoszą swe ramiona,
jakby się życia sakramentem
zapłodnić chciały, wziąć do łona...
Świerkowy las zaczarowany
i woda, co gwiazdami błyska:
klękają wespół przed tem Świętem.

Na Anioł Pański biją dzwony,
ani się dymią, ani palą,

spokojną, równą płyną falą,
nad ludzkie klęski, ludzkie plony,
nad śmierć, co wstanie umajona,
nad życie, które niemo skona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...

PODSTAWA TRYPTYKU.

Przebrzmiały dzwony. Wolna, cicha
zachodzi w otchłań tarcza słońca,
promiennem światłem się uśmiécha,
schodzi — by nigdy już nie wrócić,
tylko ten uśmiech ma w pamięci
trwać, świecić wiecznie, aż do końca.

Żegnajcie dzwony! Nigdy więcej,
nigdy o! nigdy nie zagracie!
Tylko gry waszej pogłos brzmienny
ma być słyszany w zmroczy sennej,
macie odzywać się w pamięci,
w noce dalekiem echem wrócić...

Nigdy o! nigdy, nigdy więcej
wy już o zmroku nie zagracie!
W świat rozrzucone wasze tony
lecą jak obłok rozproszony,

który przypłynął wiatr rozrzucić...
Tylko gry waszej pogłos brzmienny,
ma być słyszany w zmroczy sennej,
macie dalekiem echem wrócić.

NA WIOSNĘ



I

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska
wstaje wiosna. Już w kępie ljanów, palm i wici
jaguar centkowaną, lśniącą skórą błyska
i iskrzącym bursztynem wielkich oczu świéci.

Jakoby liść potworny z olbrzymiego drzewa,
któremu na gałęziach gwiazdy lśnią jak rosa:
leży płaski, błyszczący, a przez gąszcz się wlewa
ku niemu fali słońca tęcza złotokosa.

Pod nim woda spleśniała, ruda i zielona,
przesycona tak światłem, iż zda się metalem,
lilie, których olbrzymia złotawa korona
świeci oczu jaszczurek miedzią i koralem.

Toń zielona, przepastna, gęsta, straszna, lepka,
wydająca woń duszną, wilgotną i parną;
tam purpurowych kwiatów wznosi się wysepka,
tam purpurowe ptaki lecą rzeszą gwarną.

Ówdzie bagnistej wody nie wzruszając prawie,
potworny kajman płynie wolno i leniwie;
tam położa podłużny łeb dźwignął się w trawie
i przesunął się jeleń o wełnistej grzywie.

Jaguar bok, pragnieniem miłosnem wychudły,
ogonem raz po razu uderza niedbale,
patrząc na swoje szpony, w których świecą kudły
samicy, wyszarpane w nocnych uciech szale.

II

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska
wstaje wiosna, dusząca od światła i żaru;
i z głębi leśnej wody nagle kształt wytryska
podobny do róż leśnych i do nenufaru.

Jest to zacisze leśne, zewsząd osłonięte,
nie wmyka się tam słońce, tylko z góry pali;
jest to zacisze leśne, urocze i święte,
splecione dachem roślin nad zwierciadłem fali.

Kształt, co się z niej wynurza, podobnym się zdaje
kobiecie, ale łuską biodra mu srebrnieją,
i włosy ma zielone, jak wiklowe gaje,
i pół kobietą zda się, pół wodą i knieją.

Rusałka... Jej żywiczne, smagłe, gibkie ciało
w zielonych włosach świeci od pasa nad wodą;
rozgląda się zuchwale razem i nieśmiało,
nęcąc i strasząc razem swą dziwną urodą.

Nagle z ust tak czerwonych, jak owoc jarzębin,
błysnęły białe zęby, oczy żarem strzelą,
piersi wzniosły się żądzą i w zwierciadle głębin
znikła, tylko się fale zapienione bielą.

I to zacisze leśne, zewsząd osłonięte,
ciche jest, jako pierwej; słońce z góry pali,
a wody stawu ciemne, milczące i święte,
odbijają gąszcz dębów i cień jodeł w fali.

III

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska,
od ludzkich klęsk, tryumfów, zdaleka od ludzi
wstaj wiosno, w której oczach wieczny płomień
[błyska,
wstaj wiosno ponad sercem, które ziemia nudzi!

Niech pijana fantazya swoich barw przepychem
zasłania nędzną, szarą, biedną kolej rzeczy;
wstań wiosno, z purpurowym twoich warg uśmiéchem,
z ręką kwiaty siejącą, która smutek leczy.

Niech szara, rzeczywista, omartwiała nuda
pierzchnie przed tobą, wiosno, przed barw twoich
[kołem;
jasno świeci twych włosów grzywa złotoruda
jak u lwa — i ognista gwiazda nad twem czołem!

Olbrzymie twoje ciało zasłania mi oczy,
głowa twa na niebiosach obłoki roztrąca;

gdy wkroczysz, wre i kipi brzeg morskich roztoczy,
a w rękach twych, jak kwiatów kosz, płonie krąg
[słońca.

Z potopu twych nawałnic, z grzmotu twej ulewy,
podnosi się duch jasny i epoka świeża;
z olbrzymich czar kwiatowych, jak cudowne śpiewy,
podnoszą się zapachy i biją w bezbrzeża;

naturalny bieg zjawisk, nudny, smutny, szary,
pryska pod twoją stopą, zjawisko olbrzymie —
w kołysanej fantazyi płyną cudy, czary,
i wam, o dumne zjawy, wam wiosna na imię!...

IV

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska,
zdaleka od wszystkiego, co się życiem zowie,
tam, na łodzi bez steru, na toń bez nazwiska
płynie duch, a łódź wiodą wiosny aniołowie.

Są to duchy niewidne, zjawiska eteru,
tylko zda się, że skrzydła ich słychać szumiące;
wiodą łódź po odmęcie bez zmarszczki, bez szmeru,
pod ogromne, spokojne, nieruchome słońce.

Jest to kraina ciszy, spokoju zatoka;
z zielonych kęp wysepnych dym błękitny dymi
i podnosi się dymu girlanda szeroka,
zda się: ofiary bóstwu zatlili pielgrzymi.

Ale niema tu ludzi: tu natura święta
Bogu, który ją stworzył, śle dymiące wonie;
tu z bezdni schodzi Boga moc nieogarnięta
spoczywać na stworzonem z siebie świata łonie.

Tu piękno w nieprzebranej, niezmąconej fali
toczy się jasną rzeką, niewidne nikomu,
którego nigdy wzrokiem ludzie nie skalali —
to są wspaniałe wrota do Boskiego Domu.

Tu piękno, owo wieczne, przeczuwane, skryte,
wieczną świeci się wiosną, czyste, jak mgła ranna,
a dusze rozklęczone, wzrokiem w niebo wbite,
wznoszą ku niemu ręce, wołając: hozanna!...

V

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska
kołyszą się na piórach płomiennych ulewy;
z okrzepłego lodami w górach uroczyska
wichry wznoszą łby śnieżne i straszliwe gniewy.

Kocham was, o żywioły rozpętane, wściekłe,
szalone moce świata i piękności tęcze!
Kocham was, piorunami ulewy rozciekłe,
wichry w przepaść lecące przez kaskad obręcze!

Kocham was, wy spienione górskie białe wody,
ziemio, darta orkanem z pośród leśnych głazów!
Kocham was mgieł piorunnych ciemne korowody,
malowane w kształt tęsknych, niezmiernych obrazów...

Kocham was, wywracane lasy, pnie strzaskane,
kocham was, wiry jezior, grzmoty na gór szczytach!
Kocham mętną, ryczącą wodospadów pianę
i czarną, niemą grozę wspiętą na błękitach!

Kocham was, o zjawiska potężne, olbrzymie,
nadludzkie moce! straszne, stargane żywioły!
i w lasów, zapalonych od piorunu, dymie,
jam gotów wielbić Boga i grzmotów anioły!

Boże wiosny! o Boże pierwopotęg świata:
czuję Cię, nimeś jeszcze objawił się światu,
i która pierwsza do Cię modlitwa wylata,
z tą modlę się do Twego piękna majestatu!

VI

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska,
arystokraci swego ja i swojej woli,
chodźmy, o pani, w wieczór, gdzie na trzęsawiska
wybiega błędny ognik wśród świateł luczjoli.

Chodźmy, o pani, w wieczór, gdzie się cicho sieje
pomiędzy pola strumień i gwiazdy unosi,
szum cichy i głęboki przysyłają knieje,
i sierp księżyca trawę szklistym blaskiem kosi.

Tłum urękawiczony i ukrochmalony,
kolorem parasolek, staników i krawat
zdumiewający żaby, słowiki i wrony
i gaszący narcyzy, mak polny i bławat:

Pożegnajmy, o pani, wraz z jego codzienną
nudną intelligencyą i mieszczańskim sprytem,
i chodźmy gdzieś na ziemię patrzeć cichą, senną,
zamajoną zielenią, gajami i żytem.

I będziemy mówili o lesie, o wiośnie,
o cudownych obrazach, co z etyką miejską
nie mają nic wspólnego, lecz jak obłok rośnie
na niebie: tak i one rosną czarodziejsko.

Nic nie szkodzi, o pani, choć twe sztuczne kwiaty
zapylą się od kurzu, lub na deszczu zmiękną:
w polu rosną prawdziwe maki i bławaty,
a zamiast twych znajomych, spotka panią piękno.

VII

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska,
mówić będziem o pięknie, tem wielkiem i świętem,
które zarówno greckie rodziły igrzyska,
jak mieści się w Bezbrzeżnem, Mocnem, Niepojętem.

O pięknie mówić będziem, co zarówno świeci
na obliczu Madonny i w niezmiernych stepach,
w pieśniach, które składają genialni poeci,
i w ogromnych, milczących, starych zamków sklepach.

Mówić będziem, lecz dawnych, prostych ludzi głosem,
a ty, angielskich rożków nawykła i pianin,
podniesiesz brwi z ukosa i mrukniesz pod nosem
z bardzo wdzięcznym uśmiechem: pan jesteś poganin.

O tak! zawsze pogańskiej, dawnej jestem wiary!
Niech się modlą, niech pieją wniebowstępne chóry!
Dla mnie święte są skryte wśród bluszczów pieczary,
i tajemna, niezmierna poezya natury!

Wsłuchuję się w najlżejszy wiatru szmer przelotny,
tonę oczyma w każdem wód błękitnem drgnieniu,
a jeśli się tam czasem uczuwam samotny,
to, bo słucham, czy kto się nie ozwie w Milczeniu...

I gdybym się był zrodził przed trzydziestu wieki,
to wraz z tobą nad greckiem szafirowem morzem,
mówilibyśmy w gaju oliwnym, w czas spieki,
że wszystko, co Bóg stworzył, jest czystem i bożem.

VIII

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska
czasem dusza kobiety jest, jak w gór załomie,
pod niedostępnym szczytem i ścianą urwiska,
woda głębokich jezior, skryta niewidomie.

Przecudowne gry światła na przejrzystej fali,
noce, gdy gwiazdy schodzą czerpać na dół wodę,
dni, kiedy się powierzchnia kolorami pali,
burze w czas wichru, cisze przesłodkie w pogodę;

łabędzie, które lecąc na toni przypadną,
cień orlich skrzydeł, co się z obłoków odbija,
mgły, co się na zwierciadłach nieruchome kładną:
tych cudów tam źrenica nie widzi niczyja.

A ci, co marzą wielkie piękności na ziemi,
którzyby chcieli o nie piersiami uderzyć
i wchłaniać je w głąb duszy zmysłami wszystkiemi:
nie znajdując ich w życiu — przestają w nie wierzyć.

Wtem ktoś, jakby wewnętrzne przeczucie go wiodło,
odkrywa załom skalny i staje w zachwycie —
i serce, które w piersi miał za próżne godło,
obudzone zachwytem, nowe czuje życie.

Z piękna albowiem wstaje duch świeży i młody,
rosnąc lub straconego żałując ogromu...
Czasem dusza kobiety jest, jak owe wody
przecudownej piękności, nieznane nikomu.

WIOSNA



Berçant notre infini sur le fini de mer...
Baudelaire.

Kolosalne zjawisko na polach wieczności!
Wybuchają potężne, tak ogromne kwiaty,
że szczyty gór, wiszące w nieba głębokości,
stroją w zielenie liści i w czar swych szkarłaty.

Kolosalne zjawisko w wiekuistej bezdni!
Zabłysnęły tak świetne gwiazdy i olbrzymie,
że się jak pochodniami całe niebo gwiezdni
i wrą żywe płomienie światłości w mgieł dymie.

Kolosalne zjawisko w wieczystem przestworzu!
Jak wulkan wybuchają zboża z łona ziemi:
ludzkość głodna się rzuca i pławi się w zbożu
i zrywa złote ziarno rękami chciwemi.

Kolosalne zjawisko w wiecznym wieków toku!
Błękit nieba się rozpiął tak czysty i święty,
że się w nim Bóg objawił człowieczemu oku
jak słońce zawieszony nad morza odmęty.

Kolosalne zjawisko w wieczystym błękicie!
Bóg z rozkrzyżowanemi nad światem ramiony
błogosławi rodzące się z pól plennych życie,
jak słońce nad przepaścią morza zawieszony.

Kolosalne zjawisko wśród wieków powodzi!
Ludzkość, żywiona skrzącem, wulkanicznem ziarnem,
z ducha swojego ognie i pioruny rodzi
i wśród muzyki pląsa po polu cmentarnem.

Kolosalne zjawisko wśród płynących wieków!
Duchy ciemne bieleją, z liśćmi palmowemi
wschodzą z nad grzązkich bagnisk, z ponad mętnych
[ścieków,
niosąc Baśń Arcyświętą, Dobrą Wieść dla ziemi.

Kolosalne zjawisko w wieczystym chaosie!
Z pieśnią na ustach, z bóstwem w oczach gore-
[jącem:
białe duchy goreją na ofiarnym stosie,
a dym stosów zawisa, jak Bóg, ponad słońcem.

Kolosalne zjawisko wśród wieków obrotu!
Olbrzymi hymn się rodzi w człowieczeństwa łonie,
ludzkość okrzyk wydaje podobny do grzmotu
i jak ciosy błyskawic rozpościera dłonie!



Kolosalne zjawisko wiekuistych mytów!
Po całej ziemi płynie święta Wieść radosna,
z zarzuconych kwiatami, z płonących błękitów
zeszła na ziemię Wiosna, wiecznie zwrotna Wiosna.

Kolosalne zjawisko wiekuiście trwałe!
Wahają się gór szczyty i mórz głębokości,
tak olbrzymi Blask niesie, tak olbrzymią Chwałę
kolosalne zjawisko na polach wieczności!

WIERSZE RÓŻNE

WYKLĘCI.

Wszystko skończone już pomiędzy nami
o życie!
Odeszłoś z ciepłej rozkoszy dreszczami,
z mocą zatopień się jasnych w zachwycie;
wszystkoś zabrało, jak żniwiarz na polu,
oprócz możności: pamięci i bólu.

To dwoje drużbą jest wieczną człowieka
do końca.
Kiedy już w życiu niczego nie czeka,
w przeszłość myśl będzie grążyć się tęskniąca
i wywoływać szereg wspomnień tłumny
i także można cierpieć aż do trumny.

Tak dały bogi, które młodość biorą
przelotną,
a zostawiają ognie, które gorą,
jak blade lampy w noc ciemną i słotną

i są parodyą gorzką dawnej chwały
i mocy ognisk, co niegdyś gorzały.

Tak dały bogi i przyjąć to trzeba
z poddaniem...
Niech się więc innym uśmiechają nieba,
inni niech poją się oczekiwaniem
złotego jutra — — my mamy mogiłę
wspomnień i cierpieć zawsze świeżą siłę.

Wszystko skończone już pomiędzy nami
o życie!
Bądź zdrowe!... Żegnaj z pieśnią i kwiatami,
z szumem krwi młodej kipiącej w zachwycie,
a daj z dalekiej jeszcze patrzeć strony
na posąg boskiej piękności wcielony.

Oświeć go jasno jutrznio powstająca!
niech stoi
w całym przepychu, w całym blasku słońca — —
tam, u zamkniętych już życia podwoi,
niechaj się świeci jasnem światłem czoła
jak boski anioł wyklętym z kościoła.

Idźmy — z pamięcią i wiedzą, że może
przed nami
jest jeszcze mętów i goryczy morze,

ale że więcej z pieśnią i kwiatami
żadna się szczęsna wyspa nie wychyli,
żeśmy już z życiem rachunki skończyli.

Ah! Jak żal odejść... Jakże jeszcze blizko
podwoi
co wiodły w życia cudne uroczysko...
ów biały posąg jakże blizko stoi...
a jednak nic już nie zostaje w polu
oprócz możności: pamięci i bólu.

O wietrze!
ty więźniowi, tysiące mil od swego proga,
szumiąc u kraty od łez rdzawej i wilgotnej,
przynosisz wieści z domu... Jak tam żona droga
uczy dzieci imienia ojca, który więcej
nie wróci... Słyszy głos jej i szczebiot dziecięcy,
i płacz mu piersi chwyta straszny i zawrotny,
i o ścianę mu głowę rzuca straszna męka,
ale płacze — dlatego serce mu nie pęka.

W twoim szumie mu dzwoni dzwon z kościelnej wieży
na Anioł Pański — modlić klękają się ludzie — —
ty niesiesz szept modlitwy, niesiesz woń wieczerzy
spożywanej pospołem, niesiesz to odległe,
dalekie, drogie życie, na zawsze odbiegłe...

Niesiesz pól zapach swoich w obcą, smutną stronę,
piosenką swoją zabrzmisz w głuchej, niemej nudzie
przebiegłszy step niezmierny, pustki niezmierzone,
wody w bezkres rozlane... Ze skronią u kraty
więzień słucha, jak szumisz, i nozdrza otwiera,
czyś nie przyniósł mu trochę dymu z jego chaty,

czyś nie doniósł zapachu tej lipy w ogrodzie,
gdzie się rój pszczół na wiosnę każdorocznie zbiera...
czyś nie przyniósł tej woni, co krąży przy wodzie,
woń, co mu całe jego dzieciństwo przypomni,
jak usłyszana kiedyś, po latach, muzyka...

Szumi wiatr — jakby chłodną kładł mu dłoń na
[głowie — —
szumi wiatr — więzień oczy powoli zamyka — —
szumi wiatr — jakby jaśni szli zkądś aniołowie — —
szumi wiatr — więzień zwolna niedoli zapomni...

Czaszką wsparty o kratę, z podniesionem czołem,
z zamkniętemi oczyma słucha, jak wiatr szumi — —
szumi wiatr — — duszę więźnia napełnia anio-
[łem — —
anioł skrzydła rozpostarł w wnętrzu jego duszy,
rozpacz i ból pod skrzydłem anielskiem się tłumi
i zachwycenie spływa na tę duszę biedną...

Szumi wiatr — — od łez zwilgłą kratę kaźni
[suszy — —
szumi wiatr — — szumi jedno, jedno, zawsze jedno...

Nie rzucajcie się z krzykiem na piękno,
nie żądajcie, by czar w życiu znikł:
równie świętą jest i nieśmiertelną
Wenus Milo, jak Spartaka krzyk.

Wenus Milo w swoim majestacie
jest symbolem pierwszych potęg dwóch:
jedną: piękno dla twórczego ducha,
drugą: piękny ludzki twórczy duch.

Laokona w wężowych oplotach
za ludzkiego bytu obraz mam;
Wenus Milo, piękna i spokojna,
jest snem duszy, która cierpi tam.

Jeden tylko jest sen ludzkiej duszy,
choćby setkę zbiegła sennych dróg
i stu widzeń zalśniła się zjawą:
jeden tylko jest sen duszy: Bóg.

Walczyć, cierpieć, ginąć, jak Laokon,
Bóg nie może, bo nie byłby Bóg!
Wenus Milo patrzy się spokojnie
na świat, co się toczy u jej nóg.

Nie rzucajcie się z krzykiem na piękno:
cisza leśna — to najwyższy czar,
Bogu sprostać — to najwyższa z myśli,
a Bóg tylko nie zna słowa: zmarł.

W twego ciała przecudownej czarze
życie kipi, jak złociste wino:
trzykroć, trzykroć ten będzie szczęśliwy,
komu dasz się niem upić, dziewczyno.

W twego ciała przecudownej głębi
oczy toną, jak w jeziora fali
i powrócić na słońce niemogą
z ławic pereł i ławic korali.

Jeżeli miałaś duszę piękną i szlachetną,
a jam ci nie uwierzył i wątpiłem o niej;
jeżeli miałaś duszę łagodną i kwietną,
a jam się lękał cierni krwawiących dla dłoni;
jeżeli w głosie twoim, co mi brzmiał tak mile,
nie chciałem słyszeć prawdy, chociaż prawdą dzwonił:
jeżeli możesz — przebacz... Patrz: głowę mą chylę,
i przebaczenia prosząc, przed tobą-m ją skłonił.

Jeżelim ciebie skrzywdził, w twojej piersi młodej
widząc serce szydercze, pyszne i obłudne;
jeżelim miał twą duszę za cień twej urody,
a nie za cudnej rzeźby oświetlenie cudne;
jeżelim cię odtrącał, jak przekleństwo nowe,
gdyś ty może być mogła nowem ducha Świętem:
jeżeli możesz — przebacz... Patrz: pochylam głowę
i skłaniam się przed tobą z kolanem ugiętem.

Jeślibym ręce twojej, gdyby uścisk dała
dziewiczy i tak cichy, jak kwiatu rozwicie,
nie chciał płacić uściskiem, ani twego ciała
umiał słyszeć pieśń młodą, utajoną skrycie;

jeślibym wszędzie widział kłamstwo i mamienie,
gdzie powinienem prawdę widzieć i zobaczyć:
jeżeli możesz — przebacz... Widzisz me spojrzenie?
O jedno tylko pyta: czy możesz przebaczyć?

A gdyby to i prawdą, choć tak smutną, było,
jeśli wielka twa piękność jest zgubną przynętą,
to wszakże człowiek staje przed marmuru bryłą
i bóstwem ją swej własnej duszy czyni świętą.
I ja tak powinienem był stanąć przed tobą,
a jeśli się twa dusza, jak łąka, nie kwietni:
to kwiatów własnej duszy ubrać ją ozdobą
byłoby i mnie godniej i dla cię szlachetniej.

Lecz jeśliś nie umiała zgadnąć, lub nie chciała,
jak pragnąłem tej chwili, by w ciebie uwierzyć,
jak czekałem, czy w pysznej twej świątyni ciała
nie przyjdzie się bóg jakiś skrzydłami zaśnieżyć;
jeżeliś mogła odczuć, że przed tobą stałem,
jak ów mag, czekający cudu, gdy zaklina;
jeślim cię mógł zobaczyć, jednak nie ujrzałem:
nie mów, że moja wina — to jest twoja wina.

Lecz jeśliś nie widziała, że masz w swojem ręku
serce ludzkie, jak zmilkłe muzyczne narzędzie,
któremu tylko tknięcia potrzeba do dźwięku,
tylko dłoni, co z niego melodyę dobędzie;

jeżeliś nie poznała, że jesteś, jak ona
wróżka, co mając władzę zakląć — nie zaklina:
że ani żałowana przejdziesz, ani śniona,
nie mów, że moja wina — to jest twoja wina.

Jak szlak, którędy snują się łabędzie
twojemu sercu moje się podściela.

Niechaj się wszystko gęstą mgłą oprzędzie,
niech nic się swojem nie zowie nazwiskiem,
nic, co istotne, niech nie będzie blizkiem,
co skryte, niech się strawi i spopiela —

jak szlak, którędy snują się łabędzie,
twojemu sercu moje się podściela.

Niechaj przeszłości dusz i ciał niebędzie,
niechaj nie będzie wiedzy ni pamięci,
niechaj się wszystko na nowo uświęci
jak się wiśniowy sad z wiosną zabiela —

jak szlak, którędy snują się łabędzie,
twojemu sercu moje się podściela.

Niechaj dzień jeden, jedna chwila będzie,
gdy tyle tylko będzie w duszach życia,
ile jest w sercach w jednej chwili bicia,
ile się blasku z ócz do ócz odstrzela —

jak szlak, którędy snują się łabędzie,
twojemu sercu moje się podściela.

Niechaj zostanie na zawsze, na wszędzie,
pamięć choć jednej, choć najkrótszej chwili,
kiedy się dusza tak ku duszy chyli,
że ich już istność ziemska nie rozdziela —

jak szlak, którędy snują się łabędzie,
twojemu sercu moje się podściela.

Gdym na cietrzewie w budce siedział,
patrząc, jak wschód się w zmroku żarzy:
myślałem, ty kameo biała,
o twojej cudnej, białej twarzy;

o tem, jak wszystko nas rozdziela,
i że ta przestrzeń nie zmaleje,
i jak nic ciebie nie obchodzi,
co się w mej duszy wnętrzu dzieję;

że cały mniej dla ciebie znaczę,
niż cień, co przeszedł ci przed oczy — —
wtem na gałązce, tuż koło mnie
siadł mały ptaszek w leśnej zmroczy.

Przebacz tej mojej śmiesznej myśli —
przez jedną, krótką chwilę trwała —
myślałem, żeś mi tego ptaka
tam w pustkę przez sen ty przysłała.

Gdybyś ty była szklannem jeziorem
patrzałbym w toń twą przez całe życie;
gdybyś ty była zielonym borem
słuchałbym szumu twego w zachwycie;
gdybyś ty była pustka bezludna
dla ciebie świata zrzekłbym się śmiele;
gdybyś ty była śmiercią — o cudna! —
szedłbym do ciebie, jak na wesele.

Powiedzcie: gdyby człowiek się łamał
wielkiem cierpieniem.
czy ona mogłaby ból ukoić?
— Jednem spojrzeniem.

Powiedzcie: gdyby człowiek padł martwy
pod ciężkim głazem,
czy ona mogłaby z martwych wskrzesić?
— Jednym wyrazem.

A gdyby człowiek duszę swą skalał
śmiertelnym grzechem,
czem ona czystość tej duszy wróci?
— Jednym uśmiechem.

* * *

Teraz ty powiedz, któremu dawno
wiosna nie dnieje:
czem ona twoją duszę zdobyła?
— Tem, że istnieje.

Szukam cię — a gdy cię widzę
udaję, że cię niewidzę.

Kocham cię — a gdy cię spotkam
udaję, że cię niekocham.

Zginę przez ciebie — nim zginę
krzyknę, że ginę przypadkiem...

Niechaj jej niebo świeci błękitnie
nad głową w leśnej toni;
jak czarodziejska paproć niech kwitnie,
jak lilia — pełna woni.

Niech jej najsłodszych ust się dotyka
wiatr lotny z leśnych głębin;
włos niech jej stroi konwalia dzika
i krasny pąk jarzębin.

Niech dąb wiecznego pełen pokoju
nad głową jej się waży;
niech się odbija obraz ze zdroju
jej białej, cudnej twarzy...

Bądź zdrowa!... Kędyś tam daleko
w kwietnym ogrodzie waszej wsi,
zda ci się, że ci w uchu lekko
jakaś muzyka cicha brzmi...

To waszych pszczół nie będzie granie,
nie lip to waszych szumi liść — —
to będzie moje pożegnanie
zdaleka tam ku tobie iść...

Egipcyanko tam na złotym piasku,
co wyciągasz swe ciało w pustyni,
w ciepłym wiatru powiewie i w blasku
słońca, które bronz z twej skóry czyni;

Egipcyanko różowo-bronzowa,
Egipcyanko powolna, leniwa,
której cudna, zadumana głowa
samych bogów z błękitu wyzywa;

Egipcyanko, której piasek złoty
objął formą nagie kształty ciała,
urodzona do bogów pieszczoty,
w skwarze słońca nago ociężała;

Egipcyanko, na której grzbiet wgięty
i na pełne biodra pada słońce:
Egipcyanko — w twej piękności świętej
oczy topią się zdala patrzące...

JANOSIK



O JANOSIKOWYM TURNIEJU



W Budzynie na wzniesieniu król siadł na złoty tron,
zjechali się magnaci ze czterech kraju stron,
zjechali się magnaci ze zamków i ze wsi —
wyprawiał król turnieje ku lubej córki czci.

Otrąbią heroldowie królewskich zabaw czas,
jechali wnet panowie — dwunastu jedzie wraz:
Bathyani na ich czele, z królewskiej wiódł się krwi,
tuż książę Esterhazy od złotej zbroi lśni;

Markgraf Pallavicini szkarłatny czaprak miał,
czerwony mu proporzec z długiej kopii wiał;
grof Erdoedy i Palffy, Festetics, młody zuch,
i dumnych z swej urody hrabiów Toekoelych dwóch.

Tuż czterej inni jadą, konie pod nimi rżą,
pancerze polerowne na piersiach im się szklą,
lamparcie centkowane skóry zwisają z bark
i dumne pióropusze muskają hardy kark.

Wjechali na arenę, przed królem skłonią się —
o dank królewny walczyć każdy z rycerzy chce —

wtem wszedł od furty pola między rycerzy chłop
i skłonił się królowi czapką do samych stóp.

Królu — tak się odezwał — przychodzę skargę
[wnieść,
za hańbę naszych dziewek, za chłopskich kobiet cześć!
Dwunastu tych rycerzy dwanaście naszych dziew
uwiodło w chłopskich siołach — — niech płynie
[krew za krew!

W dwunastu chatach hańba, w dwunastu chatach
[płacz —
królu na złotym tronie — wysłuchać mię dziś racz!
Być musi krwi spłókanie, być musi krwawa lić!
za wstyd słowiańskich dziewek ja się przychodzę
[mścić.

Cisza zaległa wkoło, w zdumieniu każdy stał.
Ktoś ty jest — król się pyta — coś do mnie mó-
[wić śmiał?
Hetman zbójecki jestem, Janosik, rodem z gór.
Zdumiał się król na tronie i z królem cały dwór.

I na królewskie lico zwolna wystąpił gniew,
zjeżyły mu się wąsy, zmarszczyła siwa brew,
popatrzył na dwunastu panów węgierskich huf —
dwanaście pod piórami w dół się schyliło głów.

Jakże to walczyć żądasz? czołem w dwanaście czół?
Janosik odrzekł na to: Z wszystkimi, królu, współ!
Jeden wiatr zedmie, królu, zboże z dwunastu pól —
dwunastu tych rycerzy mej jednej garści zwól.

Król skinął berłem z tronu, zagrzmiały trąby wraz.
Janosik czuchę zezuł, poprawił sobie pas.
Juhaską miał koszulę, przy portkach złoty sznur;
sam król dziwował mu się i z królem cały dwór.

U czapki złotych blaszek błyskotał mu się pęk,
co tylko głową ruszył, czyniła czapka dźwięk;
miał w toporzysko wbity mosiężnych kółek rzęd,
co kroczył, to zazberczał. Podkówki miał u pięt.

Ścisnął ciupagę w garści — tak stanął on to tam.
Zagrali heroldowie, dał berłem znak król sam.
Dwanaście się zmierzyło kopij — drzewiany las —
w Janosikowe piersi dwanaście kopij wraz.

Hej! jako to tam było w Budzynie złotym, hej?
Co się hań na stolicy królewskiej stało wtej?
Jako to na dniu onym król się zabawiał tam
ku lubej córki cześci u złotych miasta bram?

Dwanaście w mig skruszonych kopij upadło w piach;
dwanaście migło mieczów z polerowanych blach.

Hej! kie Janosik skoczy, kie się zamachnie z rąk!
kie gwiźnie po juhacku! kiedy zatoczy krąg!

Jak ogień objechała ciupaga wkoło w błysk!
Zwalił się graf Erdoedy przecięty skróś przez
[pysk!
Markgraf Pallavicini cuglami konia zdarł,
przez samo ciemię cięty piach krwawy głową tarł.

Runął Bathyani książę na lewo, w prawo dłoń
odcięta razem z mieczem; graf Palffy wziął przez
[skroń,
i książę Esterhazy niedługo w piasku legł,
palcami grabał ziemię i zbielał wnet jak śnieg.

Niedługo się ku słońcu grabia Festetics śmiał —
padł martwy obok martwych braci Tekelych ciał
i inni za nim legli u Janosika stóp,
a on oddechnął tęgo, gdy padł dwunasty trup.

I sparł się na ciupadze i bujny stał, jak buk:
dwunastu dumnych panów leżało mu u nóg,
dwanaście ostrych mieczów, dwanaście złotych
[zbrój —
niemo patrzyli ludzie na ten śmiertelny bój.

I skłonił się Janosik czapką do króla stóp —
nikt słowa nie przemówił, świat milczał jako grób.
Dwanaście krwawych trupów musiano z pola
[nieść — —
tak pomścił się Janosik za rodnych dziewek cześć.

BALLADA O JANOSIKU I SZALAMONÓWNIE JADWIDZE

Szedł Janosik przez Spiż, przez równinę,
w starym zamku ujrzał kasztelankę,
hej! kasztelankę białą...

Miała usta krasne, jak malinę,
miała złotem wyszytą katankę,
hej! złotem szytą całą...

— Kasztelanko — Janosik jej mówi —
jakoż ci jest na imię rodzone?
hej! jakież imię twoje?

abym temu powiedział orłowi,
kiedy pójdę w oddaloną stronę,
kiedy pójdę na boje:

leć-że pozdrów tę pannę w kastelu,
pannę, co ma usta, jak malinę,
złotem szytą katankę;

abym wspomniał — przy nieprzyjacielu —

stary zamek i spizką równinę
i ciebie, kasztelankę...

— Jadwiga mi na imię, na chrzestne,
grafa jestem córką Szalamona,
co na Koszycach włada —

powiedz ty mi swoje miano czestne,
i jaka cię urodziła strona?
i kto ci za sąsiada?

Czyś ty może książę Esterhazy,
Komorowski graf, albo niemiecki
rajchsfrajher od Dunaju?

— Kasztelanko — bez twojej obrazy —
jestem hetman, Janosik, zbójecki,
ze słowiańskiego kraju.

— Biada! biada! moje lata młode!
me bogactwa i kosztowne stroje!
czy mnie idziesz mordować?

— W twoją ja się zapatrzył urodę,
w malinowe jasne usta twoje —
jabym je rad całować...

— Jakoż możesz, zbójecki hetmanie,
chłopski synu z chłopskiego plemienia,
grafowskiej jąć się córy?

— Hej grabianko! gdzie ma noga stanie,
tam pękają węgły i sklepienia
i tam się trzęsą mury!

A gdybym cię, kasztelanko biała,
kasztelanko o złotym warkoczu,
dostał do rąk, do moich:

tobym iskry krzesał z twego ciała,
tobym iskry krzesał z twoich oczu,
z ust malinowych twoich!

A gdybym cię, kasztelanko biała,
kasztelanko o modrej źrenicy,
wziął na ręce, na moje:

tobyś ze mną, jak wicher leciała,
a pytałabyś się błyskawicy,
gdzie lecimy we troje?

A gdybym ci, kasztelanko biała,
córko pana grafa Szalamona,
plecy objął i ścisnął:

hej! tobyś ty zamku zapomniała,
zapomniała, gdzie matka rodzona,
wianekby ci owisnął...

— A gdybym ci, zbójecki hetmanie,
a gdybym ci od twego uścisku,
a gdybym ci umarła?...

— Są po Tatrach głębokie otchłanie,
szedłbym na wierch stanąć na urwisku,
śmierci skoczyć do gardła...

W świegotliwy ranek idę sobie w pole!
hej! popod las!
córka pana grafa Szalamona...
Ma przy kapeluszu pióreczko sokole,
hej! kuty pas
ma mój kochanek
i jako wiatr ramiona...

W świegotliwy ranek ptaszkowie śpiewają,
hej! popod bór,
na zielonych siedzący konarach...
Memu kochankowi muzykowie grają
od gór, do gór,
przez Węgry, Polskę,
a stal drży na huzarach...

W świegotliwy ranek idę sobie w pole!
hej! popod las!
córka pana grafa Szalamona...

Od książąt, od grafów Janosika wolę...
hej! złoty pas
odpiął ci mi z piersi,
wziął, jako wiatr w ramiona...

A gdzieżeś ty, gdzieżeś, śliczna panno moja,
hej! gdzieżeś ty?
Bije serce moje, aż mi dźwięczy zbroja,
serce mi drży...

Patrzę z wierchu góry, patrzę w dół po ziemi,
hej! patrzę tam,
gdzie ty chodzisz, panno z włosami złotemi,
u kutych bram...

Odpiąłem ci złoty pasek u stanika
hej! w noc, jak grób...
Grała ci nam, grała wiatrowa muzyka
na ten nasz ślub...

Grała ci nam, grała, aż jęczało lasem,
aż jęczał bór...
bije moje serce pod szerokim pasem
od gór do gór...

Jasny Boże! Co się oto stało?!
Wleką pannę za włosy, za złote,
przez zamkowe podwórze...

Siedmiu ludzi noc całą kopało,
wykopało na podworcu grotę,
hej! przy zamkowym murze.

Wykopali grotę ciemną, czarną,
odwalili ziemię w okopisko,
łopaty dzierżą w dłoni.

Hej — nocą się świat pokrywa parną,
w Tatrach biją gdzieś pioruny blizko,
błyskawica się płoni.

Huczy burza w Tatrach gdzieś daleko,
błyskawice na niebie czerwone,
widno Gerlach czerwony...

Hajdukowie coś ciężkiego wleką,
wleką ciało dziewczyny zemdlone
przez zamkowe gazony...

Sam pan idzie w zarzuconej burce,
sam graf idzie za hajduków rzeszą —
na pierś zwisła mu broda —

idzie pogrzeb sprawiać swojej córce — —
niech się prędzej, niech się prędzej śpieszą...
Nie szkodaż jej?... nie szkoda?...

Panie grafie! cóż winna dziewczyna?
Ciało miała gorejące, młode,
krew w człowieku nie woda — —

krwi gorącej stała się przyczyna,
zachwyciła uroda urodę...
nie szkodaż jej?... nie szkoda?...

Panie grafie, ulituj się córce!
siwa broda na pierś ci opada,
i tyś także młody był...

przez zamkowe ją wleką podwórce — —
ulituj się, panie grafie! biada!
wszak ci twoich to krew żył!...

Przeszła burza nad spiżką równiną,
w świegotliwy ranek słońce wstało
na zamkowym kurhanie — —

hej! siedziałeś nad martwą dziewczyną,
hej! tuliłeś kasztelankę białą,
hej! zbójecki hetmanie...

Chwycił ci ją na ramiona — niesie w pola, w bór,
niesie, niesie — twarz ma straszną, jak powietrzny
[mór;
zaniósł ci ją do Doliny Staroleśnej het,
wyspinał się z nią do wierchu — na sam skalny
[grzbiet.

Stoją szczyty Staroleśne, nad otchłanią śpią:
na przełączce między niemi tam położył ją —
tam położył drogie ciało, białe ciało jej,
a z oczu mu łzy kapały — — grube, słone łzy...

Dwa dni leżał przy jej ciele na całunie z chust,
dwa dni od jej zimnych piersi nie odimał ust,
dnia trzeciego od jej ciała, od kochanki wstał
i rękoma począł kruszyć złomy litych skał.

Nad jej ciałem wybudował granitowy dom,
z litych głazów go ułożył, kładł na złomie złom,
z litych głazów wybudował granitowy grób,
której odpiął złoty pasek na serdeczny ślub.

I uklęknął przy grobowcu i modlił się tak:
Jadwisieńko moja miła, nieszczęsnyż ja ptak!
Ptak nieszczęsny, co przyleciał od wysokich gór,
na dolinę spadł, na spizką, jak powietrzny mór.

Śmierć ci przyniósł, śmierć młodziutkiej, śmierć ko-
[chance — ach!...
Teraz — hetman ja zbójecki — cały stoję w łzach,
teraz — hetman ja zbójecki — płaczę na twój grób,
na te lite, twarde głazy, na serdeczny ślub...

Jadwisieńko! Wstań mi z grobu! Z grobu twego
[wstań!...
Popod niebo jękła echem Staroleśna grań,
popod niebo siwe Tatry jękły w mrocznej mgle,
i w urwiskach jęcząc echo roztrąciło się...

Padł Janosik czołem na głaz i dobę tak trwał.
Wicher leciał z głębi dolin, koło niego wiał,
przesuwały się obłoki ponad głową mu,
a on leżał przy kochance bez duszy, bez tchu...

Het, w wyżynie napowietrznej, niedaleko gwiazd,
zapamiętał się Janosik, pogromiciel miast,
zapamiętał się Janosik aż z wierzchołka gór
zeszedł z gniewem na Madziarów, jak powietrzny mór.

LEGENDA
O JANOSIKOWEJ ŚMIERCI

Hej w stołecznem mieście Mikułaszu
wśród prastarych wiekuistych borów,
pod Dziumbirem, pod górą wysoką:
na ratuszu radzą ziemscy pani,
pani ziemscy liptowscy i spizcy
i orawscy hrabiowie bogaci.

Hej, nad czemże oni radzą Boże?
Na śmierć radzą, na śmierć Janosika,
Janosika, dobrego zbójnika,
zbójeckiego hetmana, mój Boże,
co jest ludu słowackiego zdrowie,
możnych łupi, a ubogim dawa,
woły nędznym kupuje wieśniakom,
sukno mierzy od buka do buka,
a nikogo nigdy nie zabije.

Pod Dziumbirem w puszczy jodła rosła,
nad wszystkie się śmigłem czołem niosła,
ze szklannego piła wodę źródła.
Mówiły jej jodły dookoła:
co tak kwitniesz ponad nasze czoła?

coś się w górę ponad nas wyniosła?
A na to im odszumiała jodła:
Niedługo mnie wodę pić ze źródła,
nie będę ja długo nad was kwietną...

Widzieli mnie liptowscy panowie,
wybrali mnie liptowscy mistrzowie.

Żupanowie siedli na stolicę.

Siekierami-ci mnie drwale zetną,
ukrzesają ze mnie szubienicę.

Szumnie radzą liptowscy panowie
w Mikułaszu, w mieście, na stolicy,
śród prastarych, wiekuistych borów,
jakoby im dostać Janosika,
Janosika, dobrego zbójnika,
co jest ludu słowackiego zdrowie.

Radzą pani, rozmaicie radzą:
jedni z chłopów chcą zrobić obławę,
ku straszliwej zbójnikowi hańbie
chcą go chwycić rodnemi rękoma;
drudzy króla chcą prosić o wojsko,

(króla w Budzie, cesarza we Wiedniu),
wojskiem całe obwarować Tatry,
jako murem zamek na Trenczynie.

Mocny Boże! Miły mocny Boże!

Aż się z stolca, z dębowego krzesła,
porwie żupan swatojański dumny,
w czarną brodę wbije palce krzywe
i zatarga nią, jak grzywą końską.
»Próżne mowy, cześciwi panowie! —
krzyknie gromko — Wszystko to już nieraz
próbowano, ale wżdy na darmo!
Szli spędzeni z dziedzin chłopi, wojsko
i hajducy — lecz zawsze na darmo!
Pierwej chwycić niedźwiedzia za kudły,
z podkrzywiańskich wywlec ciemnych lasów,
niźli w ręce dostać Janosika.

Chłopi idą, ale jąć go niechcą,
wojsku znika z przed oczu, jak mara,
hajduk się go lęka, jak upiora.
Siedm lat ssał on nie darmo pierś matki!
Powiadają, kiedy smreka chwyci:
dziewka lnu tak lekko nie wytarga,
jak on smreka wydrze z czarnej ziemi.
Powiadają, kiedy zatnie w skałę,

na dwie piędzi ciupaga się wcina;
kiedy krzyknie, wodę w stawach mąci,
jakby na nią spadło stado gęsi!

Przytem mówią ludzie — tu się żupan,
swatojański żupan czarnobrody,
krzyżem świętym przeżegnał pobożnie —
mówią ludzie, stoi w zmowie ze Złem.
Próżno strzelać doń: kula się skiełźnie,
szabla po nim spłynie bez obrazy,
a zaś jego topór niewiedziony
ludzką ręką: rąbie sam, jak żywy,
co mu każe: ludzi, drzewo, kamień.

Ma też — ludzie powiadają — władzę,
zniknąć w oczach, jak cień, bez widoku.
Tak się straci, jak mgła na świtaniu.
Nie dostać nam siłą Janosika,
jak nie pętać dziumbirskie niedźwiedzie.

Ale myślę — swatojański żupan
mówił, czarną chyląc na pierś brodę —
aby wszem wkrąg ogłosić wokoło,
że kto zdradą pojmie Janosika,
albo w nasze go przywiedzie ręce,
albo życia pozbawi samoręcz:
tysiąc jasnych dostanie dukatów.

To uchwalą jednogłośnie pani,
pani spizcy i pani liptowscy
i hrabiowie orawscy bogaci
i wieść pójdzie od miasta do miasta,
od dziedziny pójdzie do dziedziny,
pójdzie głośna, pójdzie haniebliwa:
że ktoby go do rąk pańskich zdradził,
Janosika, dobrego zbójnika,
a pomoże wziąć mu młode zdrowie:
tysiąc jasnych dostanie dukatów.

Swato-Jański tak żupan doradził.
Szumnie radzą węgierscy panowie.

na dwie piędzi ciupaga się wcina;
kiedy krzyknie, wodę w stawach mąci,
jakby na nią spadło stado gęsi!

Przytem mówią ludzie — tu się żupan,
swatojański żupan czarnobrody,
krzyżem świętym przeżegnał pobożnie —
mówią ludzie, stoi w zmowie ze Złem.
Próżno strzelać doń: kula się skiełźnie,
szabla po nim spłynie bez obrazy,
a zaś jego topór niewiedziony
ludzką ręką: rąbie sam, jak żywy,
co mu każe: ludzi, drzewo, kamień.

Ma też — ludzie powiadają — władzę,
zniknąć w oczach, jak cień, bez widoku.
Tak się straci, jak mgła na świtaniu.
Nie dostać nam siłą Janosika,
jak nie pętać dziumbirskie niedźwiedzie.

Ale myślę — swatojański żupan
mówił, czarną chyląc na pierś brodę —
aby wszem wkrąg ogłosić wokoło,
że kto zdradą pojmie Janosika,



albo w nasze go przywiedzie ręce,
albo życia pozbaw[...] ręcz:
tysiąc jasnych d[...] katów.

To uchwalą jednogłośnie pani,
pani spizcy i pani liptowscy
i hrabiowie orawscy bogaci
i wieść pójdzie od miasta do miasta,
od dziedziny pójdzie do dziedziny,
pójdzie głośna, pójdzie haniebliwa:
że ktoby go do rąk pańskich zdradził,
Janosika, dobrego zbójnika,
a pomoże wziąć mu młode zdrowie:
tysiąc jasnych dostanie dukatów.

Swato-Jański tak żupan doradził.
Szumnie radzą węgierscy panowie.



na dwie piędzi ciupaga się wcina;
kiedy krzyknie, wodę w stawach mąci,
jakby na nią spadło stado gęsi!

Przytem mówią ludzie — tu się żupan,
swatojański żupan czarnobrody,
krzyżem świętym przeżegnał pobożnie —
mówią ludzie, stoi w zmowie ze Złem.
Próżno strzelać doń: kula się skiełźnie,
szabla po nim spłynie bez obrazy,
a zaś jego topór niewiedziony
ludzką ręką: rąbie sam, jak żywy,
co mu każe: ludzi, drzewo, kamień.

Ma też — ludzie powiadają — władzę,
zniknąć w oczach, jak cień, bez widoku.
Tak się straci, jak mgła na świtaniu.
Nie dostać nam siłą Janosika,
jak nie pętać dziumbirskie niedźwiedzie.

Ale myślę — swatojański żupan
mówił, czarną chyląc na pierś brodę —
aby wszem wkrąg ogłosić wokoło,
że kto zdradą pojmie Janosika,



albo w nasze go przywiedzie ręce,
albo życia pozbawi ręcz:
tysiąc jasnych do katów.

To uchwalą jednogłośnie pani,
pani spizcy i pani liptowscy
i hrabiowie orawscy bogaci
i wieść pójdzie od miasta do miasta,
od dziedziny pójdzie do dziedziny,
pójdzie głośna, pójdzie haniebliwa:
że ktoby go do rąk pańskich zdradził,
Janosika, dobrego zbójnika,
a pomoże wziąć mu młode zdrowie:
tysiąc jasnych dostanie dukatów.

Swato-Jański tak żupan doradził.
Szumnie radzą węgierscy panowie.



na dwie piędzi ciupaga się wcina;
kiedy krzyknie, wodę w stawach mąci,
jakby na nią spadło stado gęsi!

Przytem mówią ludzie — tu się żupan,
swatojański żupan czarnobrody,
krzyżem świętym przeżegnał pobożnie —
mówią ludzie, stoi w zmowie ze Złem.
Próżno strzelać doń: kula się skiełźnie,
szabla po nim spłynie bez obrazy,
a zaś jego topór niewiedziony
ludzką ręką: rąbie sam, jak żywy,
co mu każe: ludzi, drzewo, kamień.

Ma też — ludzie powiadają — władzę,
zniknąć w oczach, jak cień, bez widoku.
Tak się straci, jak mgła na świtaniu.
Nie dostać nam siłą Janosika,
jak nie pętać dziumbirskie niedźwiedzie.

Ale myślę — swatojański żupan
mówił, czarną chyląc na pierś brodę —
aby wszem wkrąg ogłosić wokoło,
że kto zdradą pojmie Janosika,
albo w nasze go przywiedzie ręce,
albo życia pozbawi [illegible] ręcz:
tysiąc jasnych do[illegible]katów.



To uchwalą jednogłośnie pani,
pani spizcy i pani liptowscy
i hrabiowie orawscy bogaci
i wieść pójdzie od miasta do miasta,
od dziedziny pójdzie do dziedziny,
pójdzie głośna, pójdzie haniebliwa:
że ktoby go do rąk pańskich zdradził,
Janosika, dobrego zbójnika,
a pomoże wziąć mu młode zdrowie:
tysiąc jasnych dostanie dukatów.

Swato-Jański tak żupan doradził.
Szumnie radzą węgierscy panowie.



na dwie piędzi ciupaga się wcina;
kiedy krzyknie, wodę w stawach mąci,
jakby na nią spadło stado gęsi!

Przytem mówią ludzie — tu się żupan,
swatojański żupan czarnobrody,
krzyżem świętym przeżegnał pobożnie —
mówią ludzie, stoi w zmowie ze Złem.
Próżno strzelać doń: kula się skiełźnie,
szabla po nim spłynie bez obrazy,
a zaś jego topór niewiedziony
ludzką ręką: rąbie sam, jak żywy,
co mu każe: ludzi, drzewo, kamień.

Ma też — ludzie powiadają — władzę,
zniknąć w oczach, jak cień, bez widoku.
Tak się straci, jak mgła na świtaniu.
Nie dostać nam siłą Janosika,
jak nie pętać dziumbirskie niedźwiedzie.

Ale myślę — swatojański żupan
mówił, czarną chyląc na pierś brodę —
aby wszem wkrąg ogłosić wokoło,
że kto zdradą pojmie Janosika,
albo w nasze go przywiedzie ręce,
albo życia pozbawi samoręcz:
tysiąc jasnych dostanie dukatów.

To uchwalą jednogłośnie pani,
pani spizcy i pani liptowscy
i hrabiowie orawscy bogaci
i wieść pójdzie od miasta do miasta,
od dziedziny pójdzie do dziedziny,
pójdzie głośna, pójdzie haniebliwa:
że ktoby go do rąk pańskich zdradził,
Janosika, dobrego zbójnika,
a pomoże wziąć mu młode zdrowie:
tysiąc jasnych dostanie dukatów.

Swato-Jański tak żupan doradził.
Szumnie radzą węgierscy panowie.

Hej! Janosik pod Krzywaniem hula,
najpiękniejszym się światem ze światów
cieszy — dziewkę ku sobie przytula.

Najpiękniejszy z podkrzywiańskich kwiatów.

Hej! Janosik pod Krzywaniem tańczy,
pod Krzywaniem, najpiękniejszą górą
ziemi — dziewkę u ramienia niańczy.

Hej! Janosik po izbie się nosi,
młodą chwałą, jako król purpurą
strojny — dziewki o coś okiem prosi.

Janosiku! zbójecki hetmanie!
miłe sercu twemu miłowanie!...

Nad Krzywaniem był dzisiaj wschód krwawy.

Hej! Janosik o co dziewki pyta,
tańcujący we zbroi od złota
jasnej — widno, bo dziewka zakwita.

Hej! Janosik mocno dziewkę ściska
pod Krzywaniem, w najpiękniejszej stronie
ziemi — krew jej na licu połyska.

Hej! Janosik co od niej dostanie,
tylko spadnie na ziemię ciemnota
na zielonem, na pachnącem sianie...

Hej! jak lico młodej dziewki płonie!...

Nad Krzywaniem był dzisiaj wschód krwawy.

Janosiku! zbójecki hetmanie!
miłe sercu twemu miłowanie!...

Janosiku! zbójecki hetmanie!
po dziedzinach idzie głos o tobie,
taki idzie, że miłujesz obie:
i tę Martę młodą od Orawy,
i tę Hankę Bunkoszkę z Kokawy — —
Janosiku! dziewcząt miłowanie!

Ojciec Marty wyprawił zabawę
pod Krzywaniem, najpiękniejszą skałą —
sprosił na nią Janosika-Sławę.

Sprosił na nią szumnych gości masę,

wyniósł wina z piwnicy niemało,
sprosił na nie Janosika-Krasę.

Złote wino nalewał w puhary,
od radości lał po ziemi wino,
że Janosik mu tańczy z dziewczyną.

Nad Krzywaniem był dzisiaj wschód krwawy.

Poza ścianą, poza czarnym węgłem,
od bladości podobna do mary,
stoi Hanka z sercem w piersiach stęgłem.

Stoi Hanka z sercem w piersiach spiekłem,
stoi Hanka z sercem z bólu wściekłem.

Białe zęby błyskają jej w wardze,
jak w paszczęce u wściekłej wilczycy,
w strzępy chustę nad piersiami tardze.

W strzępy chustę rwie, oczyma żarzy,
jak płomieniem nocnej błyskawicy,
ręce trzyma splecione u twarzy.

Hej! Żupani siedli na stolicy,
szable brusem ostrzyli huzarzy...

Nad Krzywaniem był dzisiaj wschód krwawy.

Hej! Krzywaniu! Krzywaniu! Krzywaniu!
Hej! Wy góry, wy bory szumiące!
Wy umiałybyście śpiewające
o zbójeckiem powiedzieć kochaniu!

Jako lasem we świetle chadzali,
jak koło nich błyskiwało słońce,
jako w gęstwie śródleśnej śpiewali...

Jak maliny jasnobarwe jedli,
jako usta stulali gorące,
z wysokiej się zwoływali jedli...

Jak im płynął głos w świat na hukaniu...

Hej! Krzywaniu! Krzywaniu! Krzywaniu!...

Opowiedzcie wy góry i skały,
jako ogień kładli w czarnym borze,
jako słali koło ognia łoże,
jak im serca w młodych piersiach drgały...

Jak legali na miękkiej pościeli,
uplecionej z gałązek i ziela;
jak do rana spleceni leżeli...

Jak wstawali z żywicznej pościeli,
patrząc, że się świat ranem zabiela,
do potoku bieżeli, do chraści,
lico w wody zanurzyć huczące.

Jako rano, zanim wyszło słońce,
Mgły zrywały się w pęd z nad przepaści...

Opowiedzcie wy lasy, potoki,
jakie mieli w dolinach świtanie,
jak płynęły nad nimi obłoki
zda się płókać stopy Maryi Panny;
jako wicher powstawał poranny
i z mgły siwe wydobywał granie,
za graniami niebo słał błękitne.

Jako capy gwizdały podszczytne,
w fijołkowych potracone skałach,
za różowe turnie poskrywane...

Jako wody robiły się szklane,
a im dreszcze płynęły po ciałach.

Hej! Wy góry, wy lasy szumiące!
Wy umiałybyście śpiewające
o zbójeckiem powiedzieć kochaniu!

Hej Krzywaniu, Krzywaniu, Krzywaniu!...

Do stolicy blada Hanka wpada,
do rady się żupanów melduje.

Cóż za dziewka przybierzała blada?
Cóż za dziewka piersiami dysząca?

Oczy u niej świecą jak dwa słońca,
dwie kwitnące jej piersi leluje — —

cóż za dziewka przybieżała blada,
co się oczu ogniami wpatruje?...

— Żupanowie! przejaśni panowie,
co chodzicie z pychą po Liptowie
u dołmana ze złotą pętlicą,
za plecami z czarną szubienicą!

Żupanowie! przejaśni panowie,
co kroczycie z pychą po Liptowie
z brylantową kitą u kołpaków,
z buzdyganem kutym u czapraków!

Żupanowie! przejaśni panowie,
co stąpacie z pychą po Liptowie
u kolana ze złotym bułatem,
za plecami z purpurowym katem!

Żupanowie! przejaśni panowie:
przychodzę wam przezdać Janosika,
Janosika, dobrego zbójnika,
co się nad was jak orzeł kołysze!
Próżnoście go siłą próbowali
jak dziumbirskie niedźwiedzie brać w pęta.
Pod zaklętą stoi mocą czarów.
Kula odeń odskoczy odklęta,
szabla nad nim łuk jasny napisze.
Jego topór z czarowanej stali
sam wyrąbie regiment huzarów,
drzwi ośmioro jak piorun przeleci.
Drugi zrąbią jego towarzysze,
z którymi się pod Krzywaniem skrzyka.
(Z Huciankami się bawią przy czasie).
Sam Janosik pułk pogromi trzeci
mocą, którą zaklętą ma w pasie.
Nie dostać wam siłą Janosika,
jak nie spętać niedźwiedzia w parowie...

Z dziwem patrzą liptowscy panowie,
sam pan żupan powstał ze stolicy:

po izbie się toczy złota rzeka,
tysiąc jasnych toczy się dukatów
po podłodze w sądowej świetlicy.

Cóż za dziewka przybieżała blada,
co na zgubę Janosika szczeka?
co mu zgubę śmiertelną gotuje?

Cóż za dziewka, której darmo zdrada,
z białą twarzą podkrzywiańskich kwiatów,
co się w sądzie do rady melduje?

Cóż za dziewka przybieżała blada
o dwóch piersiach, jak wiosenne kwiaty,
dwojgiem piersi jak wicher dysząca?

Cóż za dziewka, co ciska dukaty,
i jak płomień straż bramną roztrąca?

Hej! żałosna wieści po Liptowie,
żałośliwa i nieopłakana!

Poimano orła na Liptowie,
poimano zbójników hetmana...

Poimano w pęta Janosika,
Janosika, dobrego zbójnika,
co był ludu słowackiego zdrowie...

Hej! żałosna wieści po dolinie,
żałośliwa i nieopłakana:
poimano przy bladej dziewczynie
pod Krzywaniem zbójników hetmana.

W drzwi dziewiąte ciupaga się wcięła,
za drzwi dziewięć od Hanki zamknięta;
w drzwiach dziewiątych bez mocy stanęła.

Towarzysze z Huciankami społem
tańcowali precz daleko kołem.

Pas przecięła Hanka krzywym nożem.

Hej! Krzywaniu nad obłoków morzem!...

Z pod Dziumbiru, z puszczy, z ponad źródła
najwyżniejszą wieźli jodłę drwale...
W żyłach ludziom krew gorąca chłódła,
w siwym Wagu dębiły się fale;

szumiał Liptow łzami popod góry,
jakby po nim Wag się przelał wtóry,
jakby od gór zbiegły siklawice...

Postawili drwale szubienicę.
W gotowości kaci mieli sznury.

A cóżeś ty, Krzywaniu wysoki,
zaniewidział, oślepł nad doliną,
żebyś ty dał na konopne troki
Janosika wiązać między konie?

A cóżeś ty, Krzywaniu, oślepnął,
zaniewidział mgłą tumanu siną,
żebyś ty dał zbójników hetmana
po rodzonym wlec w pętach zagonie?

A cóżeś ty od mrozu zakrzepnął?...

Hej! żałosna wieści po Liptowie,
żałośliwa i nieopłakana:
poimali orła żupanowie,
cała na nim koszulka stargana.
Całe na nim stargane odzienie,
haftowane jedwabiem i złotem —
(samaś, sama, Hanka haftowała!)
wleką ci go przez wody, kamienie,
obryzgują piękną odzież błotem,
sznur się wgryza do młodego ciała,
drogie dziewkom ciało gryzą pęta...

Cała na nim koszulka pocięta,
całe na nim stargane odzienie,
haftowane jedwabiem i złotem —
(samaś, sama, Hanka, haftowała!)
wleką ci go przez wody, kamienie,
jasne lico obryzgują błotem,
do ślicznego sznur się wgryza ciała...

Posłał pismo Janosik do króla,
do Budzyna, gdzie jest brama złota,
w jasną rówień, nad Dunaj głęboki:
Królu! nie daj mi odjąć żywota,
ja ci stanę za pułk wojska twego,

a za drugi, mój topór obstoi,
a za trzeci towarzysze moi.
Podpisał się po chrzestnem imieniu.

Pismo posłał do króla samego,
w jasną rówień, na kastel wysoki,
czekał ztamtąd wysłańca w więzieniu.

Hej! jęczały góry i wąwozy — —
nie czekali wysłańca żupani,
wywiedli go spiętego w powrozy,
popod czarną wiedli szubienicę.

Nie zbielało Janosika lice.

Hej żupani! wy przejaśni pani! —
mówi do nich Janosik w powrozie —
Dajcie mi się jeszcze raz ucieszyć,
niech mi zagra muzykant na kozie;
niechajcie mi mej śmierci przyśpieszyć,
nim se jeszcze raz użyję tańca!
niech se jeszcze by raz pójdę w koło!

(A on czekał od króla wysłańca).

Wołali mu kobziarza z pastwiska:
z okowami na nogach szedł koło,

dwanaст razy szubienicę wkoło,
dwanast razy przeszedł koło ziemi
z łańcuchami u nóg żelaznemi,
a pot z włosów mu nie spadł na czoło.

Oniemieli ludzie z dziwowiska.

Nie czekali wysłańca żupani:
hak pod żebro ci mu mistrze wbili,
wywlekli go wysoko za sznury.

Hej! — powiedział im Janosik z góry —
Wy czerwoni mistrzowie wybrani:
kiedyście mnie haw już zawiesili,
zawiesili na tym krzywym haku,
cobym sobie poglądał doliną,
hej! doliną, za zbójecką percią:
niech się jeszcze ucieszę przed śmiercią,
niech se jeszcze pokurzę tabaku...

Podali mu fajkę z macharzyną:
funt wykurzył, a patrzał doliną — —
hej! doliną poglądał przed śmiercią...

Za liptowską, za jasną doliną,
w jądrze Tatrów jest kotlina siwa,
w niej staw ciemny, cichy i głęboki.

Janosika złote oczy płyną,
płyną z wichrem przez góry, obłoki,
w tym Hinczowym utonęły Stawie.

Hej! — tak on się do siebie odzywa —
Ty mój stawie ciemny i głęboki,
coś mię poił tyle razy wodą,
ciało moje radował ochłodą:
już ja więcej ciebie nie zobaczę,
ni się więcej nad tobą zabawię,
jako oreł lecący nad góry!
Sęp nade mną krąży siwopióry,
kruki kraczą nade mną sobacze...

Hej! zbójeckaż to, zbójecka dola!

dwanast razy szubienicę wkoło,
dwanast razy przeszedł koło ziemi
z łańcuchami u nóg żelaznemi,
a pot z włosów mu nie spadł na czoło.

Oniemieli ludzie z dziwowiska.

Nie czekali wysłańca żupani:
hak pod żebro ci mu mistrze wbili,
wywlekli go wysoko za sznury.

Hej! — powiedział im Janosik z góry —
Wy czerwoni mistrzowie wybrani:
kiedyście mnie haw już zawiesili,
zawiesili na tym krzywym haku,
cobym sobie poglądał doliną,
hej! doliną, za zbójecką percią:
niech się jeszcze ucieszę przed śmiercią,
niech se jeszcze pokurzę tabaku...

Podali mu fajkę z macharzyną:
funt wykurzył, a patrzał doliną — —
hej! doliną poglądał przed śmiercią...

Za liptowską, za jasną doliną,
w jądrze Tatrów jest kotlina siwa,
w niej staw ciemny, cichy i głęboki.

Janosika złote oczy płyną,
płyną z wichrem przez góry, obłoki,
w tym Hinczowym utonęły Stawie.

Hej! — tak on się do siebie odzywa —
Ty mój stawie ciemny i głęboki,
coś mię poił tyle razy wodą,
ciało moje radował ochłodą:
już ja więcej ciebie nie zobaczę,
ni się więcej nad tobą zabawię,
jako oreł lecący nad góry!
Sęp nade mną krąży siwopióry,
kruki kraczą nade mną sobacze...

Hej! zbójeckaż to, zbójecka dola!

Żegnaj, ty dolo zbójnika,
orłowa dolo i dzika!
koniec mojemu konaniu — —
hej! Krzywaniu, Krzywaniu, Krzywaniu!...

Szumią stare lasy pod Krzywaniem,
we Wierchcichej, w Koprowej dolinie —
popod Tatry żałosna wieść płynie,
z Janosika w świat płynie śpiewaniem.
Poprzez lasy płynie het, przez pola,
leci, jęczy po słowackim kraju:
zaleciała do samego króla,
złotą bramą, mostem na Dunaju.

Wstał król na wieść ze stolicy swojej,
ze złotego tronu w mieście Budzie,
i uderzył berłem po kolanie
od lutego gniewu i żałości:

Hej! — zakrzyknął — kto mi dziś, wy ludzie,
ministrowie i książęta moi,
za regiment wojska sam obstanie,
a za drugi czyj topór obstoi,
a za trzeci jego towarzysze?!
Niech tu zaraz pisarz stół wymości
i niech wyrok mój królewski pisze:

Po wiek wieków i po wszystkie czasy
Liptów cały, że dał Janosika,
Janosika, dobrego zbójnika,
co mi wartał za trzy regimenty:
do królewskiej będzie płacił kasy
cwancygierów rok rocznie ćwierć korca.
Ten jest wyrok mój królewski święty.
Niechaj zaraz wyrusza poborca.

Taki wyrok wydał król w Budzynie,
taka kara na świat cały słynie.

Tak się skończył Janosik. Na jedli.

Co za dziewka bieży w górę blada?
Co za dziewka piersiami dysząca?
Rzęsy u niej jak jastrzębie skrzydła,
oczy u niej błyszczą jak dwa słońca?
Co za dziewka, której szyja śniada
napęczniała krwią w czoło bijąca?

Piersią targa maliniaków sidła,
ramionami chuściaki roztrąca,
bieży w górę pod Krzywań wysoki,
bieży w pustkę — w pustynię samotną.

Hej Krzywaniu, Krzywaniu wysoki,
dzikie szumią pod tobą doliny...
Zwiesiły się nad góry obłoki,
zwiesiły się ciemną ławą słotną
nad Niechcyrkę, nad dziką dolinę...

Biały potok, jak smok z rozpadliny
paszcz wynurza i rzuca się z góry
między ciemny zwał kosodrzewiny...
Z jękiem leci, jak wąż się wydłuża,

jak wąż ciało pręży srebrnosine,
spływa na dół w głazy — z rozpadliny,
białą paszczę jako smok wynurza.

Lite skały ponad wodą stoją
niewzruszoną, spokojną ostoją.
Strome skały wypiętrzyły ściany
aż pod bałwan nieba ołowiany.

Nic się na nich zgoła nie udzierży.
Orzeł szponów niema gdzie wbić krzywych —
na nich pustka, Śmierć spokojna leży
nad czeluścią otchłani straszliwych.

Ciemne słotne nad Niechcyrką chmury —
Teryjański Staw śpi pośród lodów —
wkoło głazów, szarych skalic mury
i przeciągły wiew wieczystych chłodów.

Cicho leżą na głębinie lody,
w szczerbach woda się czerni nieżywa —
po zmarzliźnie białe strugi wody
wiatr gna wkoło i w pyły porywa.

Cicho leży lód na wód głębinie
popękany, głębią przeczerniały —

Śmierć się w chuście z obłoku przechadza,
głowę na dół schyliła w zadumie.

Śmierć jedyna chodzi po dolinie,
wicher jęczy między puste skały,
Śmierć tatrzańską pustką oprowadza
i kołysze chmur całun na szumie.

Śmierć jest sama w Niechcyrki dolinie.

Teryjański Staw biały chlupoce:
głaz się stoczył z skalnego parowu,
runął z grzmotem i przepadł w odtoce — —
Teryjański Staw biały śpi znowu.

Stoi nad nim ta Hanka z Kokawy,
co zdradziła panom Janosika...

stoi nad nim, broczy z wargi krwawej,
krwawym zębem warga się odmyka,
krwawym ogniem powieka odchyla,
jako piorun nad nocną ciemnotą — —
a nad stawem się ciałem pochyla...

Stary Krzywań patrzy na nią z góry,
nawskroś wichru, przez chmury szumiące...
Hej! ty Hanka Bunkoszka z Kokawy!

Hej! ty Hanka, co ci gorą oczy!
Gdzie Janosik pod pawiemi pióry?
Gdzie Janosik pod zbroją, pod złotą?
Hej! ty Hanka, krwawy płodzie smoczy!
Gdzie Janosik, zdrowie śpiewające?
Gdzie Janosik, krasa śpiewająca?

Był ci, był ci nade mną wschód krwawy
od czerwono wstającego słońca...

Szumi nad nią stary Krzywań siwy,
pomniejący potopowe fale,
co mu głazy twarde rwały z grzywy.
Zadumał się, zasmęcił żałośnie...

Hej ty wichrze, wy chmury szumiące!
Już mi drugi taki nie urośnie,
co jak piorun przelatał po skale,
co jak burza leciał popod słońce,
jako kwiaty mi kwitnął o wiośnie...
Hej, wy góry, lasy śpiewające,
już mi drugi taki nie urośnie!...

Stoi Hanka Bunkoszka nad wodą,
ponad białym Teryjańskim Stawem;
zagnała ją w pustać żałość dzika,
zagnały ją żal i rozpacz luta,

węże za nią po powietrzu biegą,
okręcają jej szyję we sploty...

Ach! przezdałam panom Janosika,
przezdałam go z siłą i urodą,
przezdałam go pięknego, młodego...
ach! przezdałam ci go z sercem krwawem,
dusza z piersi leciała wypruta,
dusza z jękiem jęła się we wzloty...

Szumi nad nią stary Krzywań mgławy,
szumi nad nią przekleństwem posępnem,
wiatr je z jękiem w pustce oprowadza.
Ponad stawem, w pustkowiu zasępnem,
Śmierć się w chuście z obłoków przechadza...

Hej, ty Hanka Bunkoszka z Kokawy!
ból ci oczy twe krwawe zaczadza,
rozpacz wargi krwawiące odmyka...

Ach! przezdałaś panom Janosika!
Ach! przezdałaś Tatr cudo i krasę!
Ach! przezdałaś Tatr umiłowanie!

Gdzie są jego złote, jasne oczy?
Gdzie są jego złotojasne włosy?
Gdzie są jego młode usta krase?
Gdzie jest jego młodzieńcze śpiewanie?

Ach! ty Hanka, ty krwawa z Kokawy!
Ach! ty Hanka, ty pomiocie smoczy!
Oby śmierć cię zajęła za kosy,
za twe kosy rozwiane i czarne,
w oczy twoje zajźrała pożarne!...

Co wzdrygnęło górami wszystkiemi?
Co zatrzęsło nad Krzywaniem chmury?

Ha! Z rękoma rozkrzyżowanemi
Hanka w czeluść skoczyła lodową...

Teryjański Staw buchnął do góry
i zaszumiał mgłą piany wichrową —
utonęła Hanka na głębinie.

Pod Krzywaniem dzikie są doliny:
oszalałe czają się w nich burze,
Śmierć się snuje pod skaliste ławy,
ciemny postrach i strach błądzą siny — —
tam w Niechcyrce, w posępnej dolinie,
w Teryjańskim białym Stawie, w górze,
utopiła się Hanka z Kokawy.

WIERSZE
Z ROMANSU »ZATRACENIE«

Dzwony, dzwony, dzwony huczą,
dzwony duszę drą!
wznak się wali, a ponad nią
dzwony, dzwony grzmią!
Wznak się wali od rozpaczy,
od bólu, od łez — —
a ponad nią dzwony huczą,
huczą, huczą w skres!...
Dzwony biją jej nad głową,
biją, biją w nią — —
wznak się wali, a ponad nią
dzwony, dzwony grzmią...

Przed naszemi oknami zachodzi słońce,
kończy się dzień — —
i nasz dzień dogorywa.
Kawał się życia u naszych stóp
wali, jak trup — —
nie patrz nań — — zdrowa bądź! — — bądź szczę-
[śliwa!...

»Idę, idę, niby śpiący — bez myśli, bez woli —
tylko w głowie, tylko w sercu coś mnie strasznie boli.
coś zatapia w nich swe szpony, krzywe ostre szpony« *
i wiatr huczy — biją dzwony — dzwony, dzwony,
[dzwony...

Biją dzwony mego szczęścia — biją dzwony klęski,
grzmi i jęczy mi nad głową ich pogłos zwycięzki,
serce moje, bólem zżarte, w piersiach się przewraca,
idzie za mną klnąca, straszna życia mego praca,
klnąca, straszna życia praca, trud, którym dokonał,
na to żyłem, abym konał — w głuchych skałach konał,
w zimnej pustce, na pustkowie przez wicher rzucony,
sam, jak ptak odbity z stada, jak żóraw stracony...

»Idę, idę, niby śpiący, bez myśli, bez woli,
tylko w głowie, tylko w sercu coś mnie strasznie boli,
coś zatapia w nich swe szpony, krzywe ostre szpo-
[ny« — —
na śmierć moją biją dzwony — dzwony, dzwony,
[dzwony.

* Ujejski.



MARSZ ZBÓJECKI
ZE »SKALNEGO PODHALA«

Hej! idem w las — piórko sie mi migoce!
Hej! idem w las — dudni ziemia gdy krocę!
Ka wywinem ciupazecką — krew cérwonom wytocę!
Ka obyrtnem siekiérecką — krew mi z pod nóg
[bulkoce!

Ciémniuśka noc — ogień lasem przeświéca!
Ciémniuśka noc — złe sie złemu zaléca!
Na polanie popod jedle — watra w lesie sie pali;
cy sie grzejom dziwozony — cy jom carci skrzesali?

»Ty mlady brat — ty sa s nami stowarzis!
Jak padnie ci — budzies cirnom ziemie gryz,
a jak padnie — talarkami, dukotami budzies siał,
na kazdy dzień freirećku — kohanećku budzies
[miał!«

Hej bratowie! — ja sa ku wam zwerbuje!
Nie płaćcie mi — kohanecki leluje!
Nie płaccie mi, siostry moje — jabłonecki bielućkie!
Nie pładze mi, matko, ojce — gołąbecki siwućkie!

Nie płaccie mi — jo se ide zbijać, kraść!
Za dak mi lás — zo posłanie mokwa, chraść!
Jak mi padnie talorami — dukotami bedem siał!
A jak padnie siubienicom — budzie se mnom
[wiater chwiał!

FRAGMENTY Z WIDOWISKA



FRAGMENT Z DYALOGU



Noc. Przed chałupą wiejską pod drzewem rycerz wędrowny.

RYCERZ.

Jak mię ci ludzie dobrzy ugościli,
jaka w nich żyje szczerość i prostota — —
kiedy łuczywo w piecu zapalili,
to mi się chata wydała ze złota
od ognia, co bił płomieniami w górę
i świętych Pańskich wiszących na ścianie...
Ogromną rozpiął Bóg nade mną chmurę
gwiazd. Zda się złote nieba rusztowanie,
na którem legła kopuła niebiosów,
jak owe wielkie minarety wschodnie...
Słychać szum boru i szmer cichy kłosów —
lekki wiatr idzie i powietrze chłodnie...
Słodko mi będzie gdzieś na szopie kmiecej
rozkować zbroję i wyciągnąć członki,
nie w naddunajskiej niemieckiej fortecy,
albo węgierskim zamku... Kwiaty z łąki
pachną i świerszcze poczęły śpiewanie...

Wchodzi córka gospodarzy.

Cichą noc macie, dziewczę.

DZIEWCZYNA.

Cichą, panie,
jakby nad światem było Podniesienie.
Kiej ksiądz podniesie monstrancyom w kościele,
to się tak cicho robi.

RYCERZ.

Na sklepienie
wychodzi księżyc.

DZIEWCZYNA.

Cień się biały ściele
na drzewa. Strasno pojźreć dookoła...

. . . .
. . . .
. . . .

...Kiej w zimie
ogień się wiegi zapali w kominie,
matusia płótno przędom, tatuś drzymie,
a nić się długa na wrzecionie wije:
to lubię słuchać bajek. Przyjdom ludzie,
to o przeróznych dziwach nom ugwarzą!
O Waligórze, takim wielgoludzie,
co najwyzsego drzewa sięgał twarzą!
O Wyrwidębie, co mu bywał bratem,
a pasał bydło topolowym batem.
Zacem o smoku gwarzą z pod Wawelu,
i o tym Kraku, co go otruł siarką,

o pięknym Jasiu i lubcyku zielu,
i jako rycerz się jeden z mocarką
carnoksięznicom dopotąd próbował,
jaze się Panu Bogu poślubował
i wtedy zmógł jom. Tagze prawiom ludzie
o górach Tatrach, co hań za borami
stojom, jak wielgie dzwonnice i domy.
Tam jest okrutna pustka i bezludzie,
kraj zarośnięty śniegiem i lodami,
drzewa tu nase przy hańtych jak słomy,
a nic nie rodzi się, ino kamienie.
Tam jest król węzów w koronie ze złota,
z rogami z miedzi sarny i jelenie,
a kiedy spaść ma na doliny słota
i wielga powódź: to z za gór wychodzi
mnich, z światłem w ręku i nocą się włócy.
Tam ścięta głowa po polach się tocy,
abo po bagnach i mocarach brodzi
świcący okiem. A król węzów strzeze
skarbów ogromnych wraz z tą ściętą głową.
Mówiom, ze złota, co tam jest, połową
przysypać moznaby krakowską wiezę.
Ale tam strach iść, bo się król węzowy
broni tysiącem pysków, a kiej gwiźnie,
tysiąc mu węzów jak z pod ziemie bryźnie
i trzaby schodzić w okrutne parowy
i do przepaści, gdzie złe duchy siedzom.

Mówiom, ze mięso tam surowe jedzom
tamtejsi ludzie, ale ich jest mało,
bo kiej Tatarzy tu do Polski wpadli,
na deskach ludzi powiązanych kładli,
a komu głowy za deskę wystało,
ścinali równo. Są tam dwie wsie, zwane
jedna Ludzimierz od tego miérzenia,
druga Krausów, bo usy urwane
zabitym tamoj licyli Tatary
od popółnocy jaze do świtania.
Kazdy człek o tém opowiado stary,
a działo się to temu roków dwieście
za króla Leska.

RYCERZ.

Gdy słucham, zda mi się,
że maurytańskie złocone powieście
są brzękiem dzwonków, co noszą trefnisie,
przy nocnej fletni...

PAROBEK *śpiewa z łąki.*

Hejze hejze haj!
zieleni się gaj,
hej zieleni, zieleni pole...
Grajze skrzypku, graj,
moje serce kraj
hej przysło mi ej na niedolę...
Dolo, dolo ty,

nie przepłacom łzy,
ani śmiech cię przetrzymać zdole...
Hejze ino haj,
zieleni się maj,
ej zieleni, zieleni, zieleni pole...

DZIEWCZYNA.

Koniuchy przy koniach
nucą, to pieśń się roznosi po błoniach
jakby jom gwiazdy siały... Miejcie panie
dobrą noc. Matuś w komorze na sianie
wam umościli... *Odchodzi.*

RYCERZ.

Dobranoc... Noc głucha...
Gdzieś tam na polu zawodzi koniucha
i lipy pachną... *Zasypia.*

WID

figura fantastyczna.

Bez trwogi i zmazy
o drzewo wsparty rycerz we śnie odpoczywa.
Marzą mu się wojenne, ogromne obrazy,
gdy sztandary, jak wicher, obala i zrywa
i nadczłowiecze rzeczy dokazuje mieczem.
Marzy mu się potomna, nieśmiertelna sława,
iż stanie się widzeniem jakiemś nadczłowieczem,

a imieniem swem wiarę stuleciom nadawa
i podawany bywa w pamięci, jak cudy.
Marzą mu się widziane miasta, morza, ludy,
królewny, co uśmiechy kopytom rumaka
podścielały, jak dywan wzorzysty i wonny,
a jego koń unosił, jak wielkiego ptaka
i w snach królewskich świecił, jako posąg konny.
Wieńcami laurowemi wieńczono mu czoło,
królowie nalewali mu cypryjskie wina —
a oto zatrzymało go dziś polskie sioło
i do snu kołysała go wiejska dziewczyna
i lipy się ponad nim rozwoniły cudnie...
Księżyc wielki i złoty, jak słońce w południe,
nad głową jego stanął cichy i wspaniały,
jak tarcza Achillesa, pełna świętej chwały.

BALLADA



GIERMEK *śpiewa.*

Hej hetmanie, hetmanie,
gdzie to jedziesz, gdzie jedziesz tak skoro?
Czyli żona cię czeka, czy ci droga daleka,
a do stada rabusie się biorą?

Ej nie jadę, nie jadę
ni do żony, ani też do stada,
jeno jadąc tak w drogę, przedsię wcale niemogę
ani uciec, ni dognać — powiada.

Hej hetmanie, hetmanie
co cię ściga, coć zasię uchodzi?
Czyć z grzmiącemi podkowy rycerz ściga krzyżowy,
czy tatarski umyka ci złodziej?

Nie to, nie to — powiada —
ni uciekam, ni gonię przez drogę,
lecz przed własnym mym bólem zbiec niemogę tem [polem,
ni wesela dojechać nie mogę.

MNICHY



Dolina Tatrzańska. Skalne mnichy. Góry w głębi śniegiem zasypane. Noc księżycowa i chmurna.

MNICH I.

Równo się sunie wieków ciąg.

MNICH II.

Wiatr chmury w jeden tuman sprzągł
i szybko z niemi niebem pomyka.
Co to za łoskot?

MNICH I.

Koza dzika
zruciła w otchłań stary głaz.

MNICH II.

I cicho.

MNICH I.

Pomnisz dawny czas,
kiedy nad nami było morze?

MNICH II.

Pomnisz, gdy strumień rzeźbił łoże
w parowie naszym, aż się skały
jak od piorunu w gruz sypały?

MNICH I.

Widziałeś? Limba padła dziś.
Co to?

MNICH II.

Na kozy skoczył ryś.

MNICH I.

Schwycił?

MNICH II.

Uciekły. Piarg się kruszy.
Ryś wściekły stulił na łbie uszy
i krwawem ślepiem wkoło błyska.

MNICH I.

Gdzie poszły?

MNICH II.

W górne rumowiska.
Milczenie.

MNICH III.

Bracia! W podziemiu złota żyły
znowu głaz jeden rozsadziły.
Uczułem drżenie.

MNICH II.

Żar porusza
rzeki metalów: wciąż się leją,
w górę się pną i kamienieją,
jak dni i noce.

MNICH I.

Idzie Głusza

Zkąd idziesz?

GŁUSZA

postać fantastyczna owita w mgłę

Na dolinach byłam.

MNICH I.

Cóżeś robiła ówdzie?

GŁUSZA.

Śniłam.

MNICH I.

Czy już rozkwita lilia dzika?

GŁUSZA.

Na kształt błędnego lśni ognika.

MNICH II.

Gdzie brat twój, Szum?

GŁUSZA.

Po lesie chodzi

i śpiewa.

Milczenie.

MNICH II.

Słyszę: ktoś nadchodzi.

Kto to? Ty widzisz.

MNICH I.

To juhasa
widmo po złomach skalnych hasa;
zbójcy, co grzechy swe przeklęte,
jako krwawiące płaty mięsa
dźwiga do ramion przyrośnięte
i kąsa zębem, a z pod kęsa
krew mu na twarz wypryska zbladłą — —
okropne włóczy się widziadło.

GŁUSZA.

Gdym na jezioro zeszła dziś: z fali
ryba z baranią wyjrzała głową;
rogi uwite miała z korali
i we łbie tarczę dyamentową.

MNICH II.

Orły w powietrzu toczą okolny
swój krąg szeroki, olbrzymi, wolny;
na skrzydłach ważą się, jako łodzie
na dunajcowej poniżej wodzie,
o których brat twój, Szum, kiedy z dołu
wraca z wichrami w góry pospołu,
nam opowiada.

GŁUSZA.

I teraz on
kędyś tu z leśnych powraca stron.
Zkąd wracasz?

SZUM

postać fantastyczna, owita w gałęzie świerkowe i jodłowe i paprocie.

Szkody czyni Czas,
limbowy mi podgryza las,
jawory gniją. Minie wiek,
nic tu nie będzie, tylko smrek.

GŁUSZA.

I w jezior ciemną i cichą głąb
ze skał za zrębem zruca zrąb,
staw już zasypał jeden mi,
a tak się na nich spokojnie śpi.

SZUM.

Odwieczny, stary, twardy wróg.

GŁUSZA.

Jak Szatan zły.

SZUM.

Mocny, jak Bóg...

Dostrzeżone omyłki druku

Str. 20	ma być:	zawodzą i płaczą,
— 22	—	kto czuł siłę
		świecić
— 28	—	*ono*, które być może
— 28	—	*bądź* pozdrowion, napoju...
— 28	—	*bądź* pozdrowiona, karmi...
— 40	—	*które* się kruszą już...
— 52	—	*to* rodzi ziemia...
— 63	—	co *stracone* gdzieś...
— 64	—	*i* na zwierciadła...
— 69	—	Ciemnosmreczy*ń*ski...
— 72	--	*to* jest mój...
— 89	—	z za drzew się *Smutek*..
— 90	—	*i* widzi cień swój...
— 113	—	*pożegnajmy*, o pani...
— 158	—	kie gwiźnie po *juhasku*...
— 226	—	ogień się *wielgi*...
— 227	—	mnich *z* światłem w ręku...
— 228	—	od tego *miérzania*...

SPIS RZECZY.

Str.




Stanford University Libraries
3 6105 124 432 753



